

Rok V.
Kraków, d. 1 października 1911 r.
Nr. 40.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

Dobre i złe gazety.

Wiadomo wszystkim, jak wielką rolę odgrywają w naszych czasach gazety. Dostarczają nam one wiadomości nietylko o wypadkach bieżących, a przez to zaspakajają naszą ciekawość, ale nadto wyrabiają w czytelnikach odpowiedni sąd, jednając ich dla tych lub innych przekonań, haseł i zasad.

W stosunku do narodowości i polityki rozróżniamy głównie pisma narodowe i partyjne. Narodowemi zowiemy te, które mają na celu dobro całego narodu, dążą do urzeczywistnienia jego ideałów i popierają każdą dobrą sprawę, zmierzającą do tego celu, bez względu na to, od jakiego odłamu społeczeństwa ona pochodzi. Partyjnemi pismami są te, których zadaniem jest obrona programu i haseł tej lub owej partyi politycznej, tego lub innego stronnictwa narodowego.

Kto czyta uważnie pismo partyjne, a wie jakim zadaniom i calom ono służy, ten widzi, jak to pismo starannie i stale gromadzi te fakty i objawy w życiu społecznem i politycznem, które podnoszą jego partyę, a natomiast jak pilnie przemilcza wszystko, co może przemówić na korzyść jego przeciwników politycznych. Jeżeli pismo partyjne przytacza jaki fakt, mający ogólniejsze nawet znaczenie, to i ten najczęściej oświetla na korzyść swojej partyi. Wysławianie partyi swojej, jako jedynej reprezentacyi całego narodu, to także ulubiona piosnka wszystkich stronnictw politycznych, korzystanie z każdej sposobności, aby przeciwnika politycznego zdyskredytować, przypisać swojej partyi to, co było lub jest dziełem całego narodu, to zwykły manewr partyjny i demagogiczny. Wyrazem zaś tych i temu podobnych partyjnych objawów bywa zwykle prasa partyjna. I o tem każdy roztropny czytelnik ma obowiązek pamiętać.

Oprócz tej partyjności w naszych gazetach nie małą rolę gra osobiste zabarwienie, jakie pismu nadają jego kierownik i współpracownicy. Że osobiste zapatrywania każdego człowieka muszą przejawiać się w dziełach i pismach jego, to rzecz jasna. Ale uczciwość ludzka powinna wskazać odpowiednie granice tej właściwości. Gazeta nie powinna być mieczem danym szalonemu lub pijanemu do ręki, nie powinna być orężem do walki gwoli dogodzenia naszym namiętnościom, materyalnym widokom, lecz przedewszystkiem powinna być s ł u ż b ą s p o ł e c z n ą. A ta służba społeczna, jeżeli jest szczerą i szlachetną, to o ile broni »swoich« zasad, o tyle umie uszanować »cudze« ideały, o ile zwalcza błędy, o tyle wolną jest od nienawiści dla błądzących. Niestety w gazetach dzisiejszych te zasady często bywają pomijane. »J e ż e l i n i e z g a d z a s z s i ę z m o i m p o g l ą d e m, t o j e s t e ś... ł o t r e m« — oto hasło, którem dziś tak często kierują się gazety.

Nie potrzebujemy chyba dodawać tego, że w stosunku do religii i Kościoła kierownicy pism, którzy sami nie są ludźmi wierzącymi, pomimo całej »ostrożności« i »zręcznego manewrowania« zawsze zdradzają się ze swemi przekonaniami. Owszem, nie zawsze, przynajmniej w tem znaczeniu, że nie wszyscy czytelnicy umieją się na nich poznać. I na tę dwulicowość, jaką odznaczają się niektóre nasze pisma, uważamy za stosowne zwrócić uwagę. Grzeszą zaś tą dwulicowością wszystkie te pisma, które nie jawnie wprawdzie, ale w sposób zamaskowany podkopują wiarę i atakują Kościół, czyniąc to nieraz w imię, naprzykład »narodowej sprawy« lub innych wzniosłych i świętych haseł! Pod maską najwstrętniejszej obłudy uprawia się często ohydny »bandytyzm« prasowy. Notuje się wypadki z życia kościelnego w oświetleniu niekiedy bezstronnem, niekiedy mętnem a jednocześnie na drugiej szpalcie pisma poniża się lub wyśmiewa zasadę katolicką. Dwulicowość taka, oczywiście wyraźniej spekuluje na dobroduszność czytelnika, który na niej się nie poznał. Ktokolwiek przegląda nasze pisma »bezbarwne« i »liberalne«, usiłujące »wszystkim dogodzić«, ten przyzna, że w słowach naszych niema najmniejszej przesady.

Rozbójnicze gniazdo.

XIII.

Napad od strony stawu. — Trudności dla Tatarów. — Grad pocisków z góry. — Walka z dwóch stron. — Ustąpienie z dolnego zamku. — Janaszek spieszy do walki. — Niespodziewana odsiecz. — Śmierć Dorszaka. — Narada. — Postanowienie Janasza. — Pogrzeb Dorszaka.

Po jaskrawej łunie pożaru nastąpił mrok. Niebo okrywały gęste chmury, czas był jesienny, przykry i smutny. Jabłonowski, okrywszy się płaszczem, obchodził, ziewając, mury i straże. Jemu i wszystkim zdawało się, że do rana przynajmniej wytchnąć będą mogli. Nie zaniedbano ostrożności i ludzi część czuwała.

Nikita nieznużony, z ranami, opalony i zmęczony, choć od stawu nic nie groziło, wszedł powoli na basztę i nie dochodząc do wierzchołka, przez jednę ze starych strzelnic spojrzał na staw. Wiatru szum głuszył słabsze głosy i wrzawę; zdało mu się jednak, iż plusk niezwykły dochodzi od wody. Staw nie był tu bardzo głęboki. Wlepiwszy weń oczy, dostrzegł Nikita na nim poruszające się jakieś postacie, których zrazu zrozumieć nie mógł; wdrapał się więc wyżej na mur, i z wierzchołka zaczął się przyglądać wodzie. Jakkolwiek ciemno było, rozeznał na niej płynących z końmi w znacznej liczbie Tatarów. Zapewne Dorszak musiał kierować nimi, wiedząc, iż ta część zamku, którą staw otaczał, najsłabszą była i najmniej obronną, i że się stąd wcale nieprzyjaciela nie spodziewano. Odkrycie to raziło go jak piorunem, zbiegł co rychlej po kasztelanica, gdyż chwili nie było do stracenia.

Nie czyniąc popłochu, trzeba było co rychlej obwarować się z tej strony. Jedna śmigownica i moździerz ustawione były ze strony przeciwnej, nakazał Jabłonowski moździerz co rychlej dźwignąć na jednę z baszt i posłał z tem Nikitę, sam zaś pobiegł niespokojny przekonać się oczyma własnemi, że rzecz o której mu doniesiono, możebną była. Z pierwszej strzelnicy, do której oko przyłożył, przy szarem światełku świtu łatwo mógł dostrzedz, iż ogromną przestrzeń stawu zajmowali Tatarzy, płynąc, swoim obyczajem, ze związanemi ogromnemi pękami sitowia i trzciny, które ich ponad wodą unosiły nieco.

Posłał Jabłonowski w cichości po ludzi, po kamienie, któremiby razić można z góry. Nie można też było ogołocić z ludzi parowu i zostawić go bezbronnym. Tatarowie mogli, z jednej strony uderzarzając na trwogę, na drugą rzucić się tem pewniej, jako na opuszczoną. Pierwszy raz kasztelanic uczuł się na chwilę niepewnym, co pocznie i zwątpił o sobie i losie zamku. — Lecz trwało to mgnienie oka. Zbiegł w dolne podwórze i lud rozłożony w niem posłał na boczne ściany, swoich i miecznikowej ludzi zostawił tylko kilku do kierowania obroną, jeśliby się Tatarowie i stamtąd pokusili, najzręczniejszych zabrał ze sobą od stawu.

Moździerz już z pomocą drągów i desek wsuwano na basztę po cichu. Nie szło i to łatwo, a choć puszkarz kasztelanica kierował ustawieniem, samo miejsce, znużenie i noc, nierychło dozwoliły dokończyć roboty.

Gdy się to działo, pierwsze konie tatarskie dosięgały wąskiego brzegu pod zamczyskiem. Nie obrachowali się z tem napastnicy, że się nie będą mieli gdzie pomieścić, gdyż stroma góra prawie tonęła w wodzie. Konie więc rzucić trzeba było, a pieszo co rychlej drapać się na górę. Lecz wdzieranie się na opokę stromą nie było łatwe. Rozstawieni na murach ludzie, którym nakazano czekać hasła, z rusznicami w strzelnicach, wyglądali tylko rychło im znak dadzą. Jabłonowski czepiał się po murach, zaglądał, nie bardzo wiedząc, co począć i czy rozpoczynać.

Bądź co bądź nie było już nic do stracenia. Sam kasztelanic wziął rusznicę, zmierzył w ciemności ku tej kupie, w której dowódcy się domyślał, i wypalił. Za jego strzałem buchnęły całym rzędem wszystkie, a po chwili puszkarz na los szczęścia moździerz podpalił i posłał kulę, która padła na płynących stawem.

Razem z hukiem strzałów dał się słyszeć krzyk dziczy, zaskoczonej niespodzianie. — Przez otwory w murach słabe ręce pchały bryły kamieni i gruzu wprost padające na głowy napastników. Zwinęli się Tatarzy, chcąc cofnąć i wielu było słychać wpadających do stawu. Puszczone z łuków strzały, zakrytym murami wcale szkodzić nie mogły.

Kilku z ordy stoczyło się rażonych na dół. Zdawało się, że między sobą zaczęli zwadę, a znaczniejsza część pierzchnęła ku prawej stronie. Tu także toczono na nich kamienie. Orda, która płynęła jeszcze, po strzale z moździerza rażona zaczęła się cofać napowrót, zostawiając tych, co byli pod zamkiem, samych. Dano powtórnie ognia. Dzicz nie śmiała już drapać się na górę. Dzień, który wstawał, czynił jej położenie coraz niebezpieczniejszem. Moździerz nabity nanowo wystrzelono raz jeszcze. Popłoch zwiększał się, lecz z innych stron Tatarzy opasywali też zamczysko, mianowicie od przekopu, który widocznie przejść chcieli, aby się dostać do pierwszej bramy. Ta już była wprawdzie jakokolwiek zatarasowana i obronna, ale zdobycie jej łatwiejsze niż drapanie się na mury. Wreszcie i ci, którzy przez staw się dostali, a z przeciwnej strony stracili nadzieję wdarcia się na mury niepostrzeżeni, teraz biegli prawym brzegiem, aby zająć bramę; nie było sposobu obronienia jej. Jabłonowski z przerażeniem, ledwie uspokoiwszy się o jednę połać, wpadł na górne piętro pierwszej bramy i tuż pod nią zobaczył tłum Tatarów; ze wszystkiemi siły trzeba było teraz przenosić się tu, gdzie niebezpieczeństwo było najbliższe. Z okien więc zaczęto strzelać i rzucać cegłę, gruz, bruk, głownie pozostałe od wczorajszego pożaru.

Dniało już jasno. Cały tłum Tatarów obrócił się na pierwsze wrota do góry zawalone kamieniami. Strzelano jeszcze, gdy podłożono ogień wielki pod nie, suche drzewo zaczęło się palić. Kamienie, któremi je przywalono, zagradzały jeszcze wejście. Jabłonowski po ostatnim wystrzale ludziom cofnąć się kazał. Łatwo przewidzieć było, że gdy wrota przetleją, cała kupa kamieni runie na Tatarów, ale ich nie powstrzyma... Kasztelanic dobiegał ze swoimi ludźmi do drugich wrot, gdy z ogromnym hukiem ściana ta obaliła się, wrzask dał się słyszeć, milczenia chwila — i z nową wrzawą dzicz, jak strumień błotnisty z gór, wlała się w pierwsze puste podwórze.

Chociaż ponieśli stratę znaczną, Tatarowie tryumfowali: zdało im się, że zamek był już zdobyty. Orda natychmiast rozpostarła się w podwórzu i poczęła pędzić na górny zamek. Mówiliśmy już, że wnijście do niego było osłonione budynkiem murowanym, w którym mieszkali Dorszakowie. Wąskie przejście dzieliło mur drugi od niego. Na gmachu tym w nocy dach spłonął. Ściany jego okrywały bramę nieco, nie dopuszczały przybliżyć się Tatarom, ale z wierzchołka ich razić strzałami znajdujących się w podwórzu ludzi, ściśniętych tak, iż przejść między nimi było trudno.

Zaledwie Jabłonowski dopadł bramy i ludzie za nim się schronili na górny zamek, wzięto się do zamurowywania wrot w inny sposób, tak, aby spa-

lenie ich nie zagrażało tej naprędce wzniesionej ścianie. Kasztelanic był tak znużony i upokorzony tem, iż obronić się na dolnym zamku nie umiał, że padł we drzwiach, targając włosy z rozpaczy. Nie spostrzegł nawet miecznikowej, która stała nad nim, blada ale spokojna i zrezygnowana.

— Kasztelanicu — rzekła, trącając go w ramię — to co się stało, złem nie jest; jesteśmy w ciaśniejszym obrębie ograniczeni, ale daleko bronić się nam w nim łatwiej, i tu, Bóg łaskaw, obronimy się.

Te słowa niespodzianie poruszyły Jabłonowskiego, który powstał na nogi z otuchą nową.

— Tak jest — zawołał — i ja mam nadzieję, lecz wszystko zależy od ludzi, by im sił starczyło.

— Ludziom kazałam rozdać jedzenie, wódkę, wodę; ludzie są dobrej otuchy. Proch i kule są jeszcze.

— A więc na mury! — krzyknął Jabłonowski, rzucając się ku bramie.

Śmigownicę ustawiono właśnie tak, aby na obronę wrot służyć mogła.

Wśród tego huku i zamętu Janasz, którego złożono w izdebce na górze, przebudził się po śnie pokrzepiającym. Siedziała na straży przy nim Agafia, którą Jadzia uprosiła po cichu, aby go nie odstępowała. Biegała do okien, łamała ręce, siadała znowu przy chorym, wpatrywała się weń z politowaniem, a potem znowu zaczynała rzucać się po izdebce jak szalona. Z okna widać było twarze — wszystko, co się w podwórzach działo. Agafia padła na kolana, postrzegłszy, że dolny zamek był zdobyty; twarz ukryła w dłoniach. Potem z za pasa dobyła nóż, który jej nigdy nie opuszczał, popróbowała jego ostrza i uspokojona nieco zatknęła go znowu. Janasz wreszcie przebudził się, podniósł o swej sile, obejrzał i zebrawszy myśli, zapytał Dorszakowej, co się działo. Agafia nie śmiała mu powiedzieć, czego była świadkiem. Poruszyła głową, rozwarła ręce i milczała.

— Dosyć już tego odpoczywania — odezwał się Janasz. — Słyszę, że się bronią. Tatarowie są, trzeba iść w pomoc. Nie wyleżę w łóżku.

To mówiąc, postrzegł Korczak stojącą buteleczkę i kubek, sięgnął po nie sam, wychylił i skinął głową, prosząc Dorszakowej, aby wyszła do sąsiedniej izby. Nie mogąc mu się oprzeć, posłuchała. Janasz przeżegnał się i ubierać począł. Gorączka zupełnie była ustała właśnie, gdy się zwiększenia jej spodziewać było można. Czuł się silniejszym. Pozbierał broń, zatknął pistolet za pas, przypasał szablę, pościskał bandaże na ranach, wypił jeszcze pół kubka, przeżegnał się znowu i stanął w progu.

Olśnił go blask dnia, ogłuszyła wrzawa. Naprzeciwko, na dachu spalonego domu, stali już kupą Tatarzy i sypali strzałami. Na murze naprzeciw nich stał Jabłonowski ze swoimi ludźmi, odstrzeliwał się. Słychać było głuche bicie we wrota.

Kiedy niekiedy odezwała się armatka śmigownica. Lud znosił kamienie i ciskał je z bocznych murów, które także oblegali Tatarowie. Walka rozżarta była z obu stron. Z ciężkością ludzie z sobą rozmówić się mogli, taki szum i krzyk nieustanny wił się w powietrzu. Na górze w oknie ksiądz Żudra w komży i stule, z krzyżem w jednej ręce, z brewiarzem w drugiej, kończył ranne modlitwy. Wizerunkiem Zbawiciela żegnał mężnych obrońców i kreślił krzyż w powietrzu, jakby chciał nieczyste rozpędzić siły. Za nim stojąca miecznikowa różaniec przebierała w palcach.

Miecznikowa ujrzała Janasza, który biegł ku wrotom, prowadząc z sobą Nikitę.

— Jakto? — zawołała — Janasz wstał?

Nikt jej nie odpowiedział. Widać było stąd, jak z rusznicą stanął, podniósł ją i wypalił, potem ludzi począł rozstawiać i przebiegł na inne miejsce.

Lecz liczba oblęgających była tak wielka, że wkońcu zdobycie stawało się nieuchronnem, bo środki obrony wyczerpać się musiały. Strzelano, już oszczędzając prochu i kul. Kamienie, które spychano, mogły wkońcu wał pod murem usypać, któryby wdarcie się nań ułatwił. Tatarzy zdołali podłożyć ogień pod bramę pomimo strzałów i kłąb dymu już się koło niej podnosił powoli.

Udało się Janaszowi śmigownicę tak wykierować, że zmiotła z dachu przyległego budynku część Tatarów. Kula przebiła nadpalony wczoraj pułap i reszta dziczy stojącej na nim zawaliła się z trzaskiem i krzykiem w głąb budowy. W ten to sposób obroniono się od dokuczliwych strzałów, które sięgały do wnętrza, a ściana budynku stawała się zasłoną. W chwili, gdy się to stało, dzicz oblęgająca wydała pisk mściwy i zajadły, widząc, że jej zamiary gotowe spełznąć na niczem.

Był to pierwszy prawdziwie szczęśliwy wypadek od rana. Ludzie miecznikowej powitali go radosnym okrzykiem. Jabłonowski usłyszawszy to, pobiegł do Janasza, który już znowu śmigownicę ładował.

Słońce wschodziło ponad otaczające wzgórza, wiatr poczynał ustawać; tatarska orda skupiona zdawała się rozważać, co czynić i czekała na rozkazy. gdy z lasu ukazało się wypadających jeźdźców kilku. Miotali rękami i krzyczeli coś zdala. Tłum stał jak wryty...

Nagle, co żyło Tatarów, z zamku się wysypywać zaczęło, przeganiając, tłocząc, arkanami łapiąc rozbiegające się konie. Opóźnieni jakby z trwogą zaczynali uchodzić, a już na przeciwnym brzegu wydrapywali się z niego inni i biegli ku tabunom i obozowisku.

Nie można było zrozumieć, co zrodziło ten popłoch i ucieczkę. Na zamku stali wszyscy jakby cudem zdumieni, niedowierzający oczom swoim.

Z górnego piętra wieży stojąca w oknie Agafia dostrzegła człowieka, którego z obnażoną głową prowadzono ze związanemi w tył rękami, na arkanie na szyję zarzuconym. Nie można było poznać ani domyśleć się twarzy, ani ubioru, a jednak oczy kobiety przylgnęły do tej postaci, w której przeczuła mężazdrajcę, Dorszaka.

Tatarzy w pośpiechu siadali na konie, jeden tylko czekał, aż przyprowadzono przed niego chwyconego na arkan człowieka. Stali przed sobą ci dwaj chwilę. Jakby zawołany podbiegł trzeci... mignęła mu w ręku szabla i głowa stojącego potoczyła się się na ziemię, kadłub zachwiał się i padł. Tatar przypadł do głowy, chwycił ją za włosy, podniósł do góry i przywiązał do konia. Wszyscy dosiadali koni, niektórzy biegli już ku lasom, inni zbijali się w kupki. Agafia patrzyła, stojąc jak wryta, twarz jej jakby płomieniem oblała się krwią i zbladła jak marmur, oczyma wiodła za Tatarem, który głowę unosił, obłąkany jej wzrok ścigał go, szukał, ginął w tłumie. Lecz ani jedna kropelka łez nie pociekła z jej oczu na widok uciętej głowy męża.

Gdy Tatarzy zapędzili się po bałkach, uchodząc, z wąwozu naprzeciw ukazała się biała chorągiew. Za nią jechało kilkadziesiąt koni i sunęła się zbrojna piechota. Przodem w swej czerwonej opończy jechał pułkownik Dulęba. On i jego konnica puścili się zaraz za uciekającymi Tatarami, ale ich doścignąć nie mogli.

Janasz, ujrzawszy chorągiew krzyknął, zwracając się ku pani miecznikowej:

— Górą nasi! górą nasi!

Na całym zamku okrzyk ten echem się odbił. Lud przed chwilą na pół umarły ze strachu, zrywał

się na nogi, inni klękali na modlitwę. Korczak kazał oczyszczać z kamieni bramę zawaloną.

W kaplicy zapalono świece, ksiądz Żudra prowadził swoich przed obraz Chrystusa, wołając: »Na kolana! na kolana!« Za nim cisnęli się wszyscy. — Przodem szła miecznikowa z córką, za nią kasztelanic, Janasz, Nikita, hajducy, ludzie kasztelanica. — A że kapliczka była szczupła, napełnili pokoje, sienie i wtórowali pieśni, gdzie kto stał. Przeszła ona w podwórce i podwórzec rozlegał się dziękczynieniem.

Ludzie, którym było pilno na swe zgliszcza, wysypywali się już z zamku, biegnąc ku miasteczku. Z drugiej strony wąwozu nadbiegający ludzie witali zbawców okrzykami. Dulęba, niewiele myśląc, konia porzuciwszy, ważył się brnąć do kolan prawie w wodzie, aby prędzej na zamek się dostać. Ksiądz Żudra wyszedł naprzeciwko niemu.

— Witajże nam, witaj pułkowniku! — zawołał — w samą porę przybyliście, aby nam życie ocalić.

— Ani kwadransem wprzódy, Bóg świadkiem, przybyć nie mogłem — rzekł pułkownik, wydobywając się z parowu. — Nimem siłę moją rozprószoną zgromadził, nim tyle zebrał, żeby módz tej szarańczy stawić czoło, upłynęło czasu dosyć. Dowiedziałem się od szpiegów, że się ta dzicz tu ze wszech stron zlała. Z lada czem się porwać nie było można.

— Cośmy tu doznali od wczorajszego wieczoru, język ludzki nie wypowie — zawołał ksiądz Żudra — Nigdyby napaść tak upartą i obrachowaną nie była, gdyby ich Dorszak nie prowadził.

— Ostatnia to jego wyprawa — rzekł Dulęba.

— Zginął? — spytał ksiądz Żudra.

— Tatar go ściął, trup leży na dolinie. A Dorszakowa? — spytał Dulęba.

— Mówiono mi, że niedawno z zamku wyszła.

— Dokąd?

— Nie wiem.

Szedł tedy prowadzony przez księdza Żudrę na zamek pułkownik, gdzie zasiadano do stołu.

Przyjęto go okrzykiem. Dulęba stanął w progu, misiurkę zdejmując, z przywitaniem starem:

— Niechże będzie pochwalony!...

— Na wieki — odpowiedziała miecznikowa, zbliżając się. — Niech będzie pochwalony na wieki Ten, który cuda sprawia i niegodnych ratuje.

— Trochem się spóźnił, miecznikowo dobrodziejko — począł, stękając Dulęba — alem to już księdzu Żudrze tłómaczył, nie sposób było z małą garścią iść na tę szarańczę a ludzi musiałem zbierać ponad granicą.

Ksiądz Żudra przystępował z lampeczką.

— Pułkowniku, za wasze zdrowie!

— Kiedyście tu wszyscy panowie razem — prosząc siedzieć, poczęła pani Zboińska — dajcie mi radę, powiedzcie, co czynić mam? Chciałabym te strony opuścić, potrzebuję odetchnąć, a sama na nic się tu nie przydam. Ale jakże wyruszyć stąd? czy bezpieczne drogi? czy...

— Pani miecznikowa pozwoli — wtrącił kasztelanic — ażebym ja jej z ludźmi moimi służył, jako straż i osłona. W tej stronie nie możemy się obawiać napaści. Dosyć będzie kilkunastu koni, a do pierwszej stannicy*) i pułkownik przecie doda nam od siebie ludzi.

— Sam jeśli trzeba służę — odparł Dulęba.

— Lecz niech ludzie wypoczną — odezwał się ksiądz Żudra — kilka dni musimy przynajmniej po tych kilkunastu godzinach dychać, aby siły odzyskać. Janasz ranny i zmęczony. Nikita już się położył, znajdą się i inni.

— A któż zaręczy, że Dorszak nie przyprowadzi ich tu znowu? — odpowiedziała miecznikowa.

— Za Dorszaka to ja ręczę, mościa dobrodziejko — odezwał się Dulęba. — Wątpię, żeby go z tamtego świata puścili ci, którym się dusza jego należy.

— Jakto? — zawołała miecznikowa — ja nic nie wiem.

— Tatarzy są ludzie prędko ekspedyujący — mówił Dulęba. — Naprowadził ich tu, pościągał, zaręczył snać za znaczną zdobycz i jeńców. Nie udało się. Sąd doraźny: arkan na szyję i nim stąd odjechali, ścięli go, ot tam w dolinie. Gdzie wina tam i kara. Łaska to boża dla nas wszystkich, bośmy się od łotra uwolnili a i żona jego odetchnie.

— Ale Tatarzy!

Dulęba głową potrząsł.

— Nie przyjdą, a przynajmniej nie tak rychło. Zameczek trzebaby oprawić, zda się...

— I kogoż w nim zostawić? komu powierzyć? — zapytała, jakby sama siebie, miecznikowa.

Był moment milczenia.

Janasz ze spuszczonemi stał oczyma, podniósł się zwolna i cichym głosem się odezwał.

— Jeśli pani miecznikowa rozkaże, bylem jaką taką siłę miał, ja na Gródku zostanę.

Jadzia drgnęła cała, zaczerwieniła się mocno, groźnie spojrzała na Janasza. On oczy spuścił. Zboińska nie odpowiedziała nic.

— Jabym za tem głosował — dodał Dulęba — dał jegomość pan Korczak i męstwa i roztropności dowody. Dla młodego to miejsce; a gdy, Bóg da, król jegomość nam powróci, rozprawiwszy się tam z Turkami, możemy mieć z nimi harce, co się zowie! Pole do popisu nie może być lepsze...

Miecznikówna, którą wejrzenia kasztelanica prześladowały, ustąpiła nieco zarumieniona i niespokojna. Janasz wysunął się powoli i powlókł na górę.

W izdebce swej nie znalazł już Agafii, ale natomiast Nikitę, który, posławszy sobie wiązkę słomy, wyciągnął się na niej na dobrze zasłużony odpoczynek. Zobaczywszy Janasza, zerwał się wprawdzie, lecz go uprosił przybywający, aby się dla niego nie podnosił.

— To prawda — rzekł Nikita — że kości bolą strasznie, bośmy tych kilkanaście godzin nie próżnowali. Dopiero teraz człek czuje, że go i belka niejedna przytłukła, i rany swędzą, i ręczyska bolą. Przyznam się panu ciężka była sprawa, ano teraz, gdy przeszła, aż się dusza raduje, na całe życie będzie co wspominać i mówić o czem. I mnie to jeszcze nic, ale co to będzie z paniczem?

— Może ja tu zostanę — szepnął Janasz.

Dworak się porwał.

— To nie może być! a! nigdy w świecie! Jejmość i jegomość kochają was, jak syna, panienka jak brata. Gdzieby zaś was mieli na tej pustyni zostawiać na pastwę tej dziczy!

— Żołnierz jestem — rzekł Korczak — wojować muszę, a w Mierzejewicach zgnuśnieję.

Nikita potrząsnął głową. Drzwi się otworzyły: weszła Agafia z włosem rozpuszczonym, jak obłąkana. Stanęła w środku izby, obejrzała się.

— Pochować go trzeba — rzekła.

Dworak zwlókł się, choć stękając.

— Weźniemy ludzi i przyniesiemy ciało.

Agafia potrząsła głową i zwróciła się ku drzwiom.

— Chodźcie — rzekła — ja zapłacę.

Otworzyła drzwi i oglądając się wyszła. Janasz, którego litość brała, wstał także. Poszli za nią i zabrali jeszcze dwóch ludzi z dziedzińca. Z okna zaś,

*) Stannicą nazywała się forteczka na kresach.

zobaczywszy Agafię, Dulęba zbiegł także i przyłączył się do nich.

— Trzeba wziąć księdza — odezwał się.

Kobieta jakby nie słyszała, nie zwróciła się ku niemu; potem tylko potrząsła głową. Szli więc dalej. — Agafia ciągle milcząca, zamyślona, patrzyła w miejsce, gdzie ciało leżało. Około trupa stały głodne psy z miasteczka; zakryła sobie oczy. Na widok ludzi psy, szczekając, poodbiegały, ale kałuża krwi była wypita i na szyi nieszczęśliwego znać było zęby głodnych zwierząt.

— Tu — rzekła krótko Agafia, siadając i wskazując palcem. — Tu!

Ludzie, którzy mieli rydle ze sobą, poczęli kopać w milczeniu. Dulęba stał, nic już nie mówiąc i patrząc z politowaniem na kobietę. Gdy grób wybrany był głęboko, Agafia obejrzała się dokoła, jakby szukając całuna, którego nie było. Dulęba, który czuł jej boleść i zrozumiał jej wejrzenie, zrzucił burkę z ramion i podał ją ludziom.

Owinięto w nią ciało. Agafia wstała, zbliżyła się na brzeg dołu. Spuszczono ciało na dno. Pierwsza Agafia wzięła oburącz ziemi i rzuciła ją na nie. Siadła potem na dawne miejsce. Zaczęto sypać mogiłę, każdy się przyłożył do niej. Milczeli wszyscy. Gdy się dół zrównał, zdawało się ludziom, że było dosyć, Agafia żądała, aby sypali jeszcze i rzuciła garść pieniędzy z kieszeni. Otaczający ją patrzyli na siebie i na nią, nie poruszyła się. Mogiła była już niemała. Dulęba skinął, by przestali. Jakby przebudzoną ze snu wziął Agafię za rękę.

Spuściła głowę, dając się prowadzić bezwładnie. Wszyscy powoli szli za nią na zamek.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jak Icek wyszedł na spółce z Walkiem.

Będzie już temu kilkadziesiąt lat, jak żył uczciwy ale ubogi człowiek imieniem Walek. Lubili go ludziska i najmowali do roboty, bo robił prędko i dobrze, a przytem i wiele figlów umiał płatać, a szczególnie żydkom.

Otóż raz szedł Walek na robotę zaraz zrana i przechodząc mimo stawu spostrzegł, jak duży szczupak przypłynął do brzegu i pluskał się, patrząc na wschodzące słońce.

— Ach, żebym ja był rybakiem — myśli sobie Walek — tobym cię złapał w sieci. Oj miałbymci ja od pana dziedzica za ciebie dobry podarunek.



Rozmyślając tak, stanął Walek z boku za łozami i patrzy jak się szczupak dalej rzuca i pluska w wodzie. Wtem wyskoczył z za łoziny lis i raptem szczupaka za łeb uchwycił. Ten zaś wykręcając się pyskiem uchwycił lisa za mordę i rozpoczęła się walka. Lis ciągnie szczupaka do łoziny a szczupak lisa do wody. Ale jak przysłowie mówi: »gdzie się dwóch poważni, tam trzeci korzysta«, tak i Walek, widząc tę wojnę, skoczył z workiem i obydwóch złapał do niego i niesie sobie, rozkoszując się, że jak zaniesie do dworu, to dostanie coś w podarunku.

Droga do dworu prowadziła mimo karczmy, więc i nie dziw, że Icek stojący na progu karczmy, zobaczył Walka i mówi:

— Dzień dobry! a co tam niesiecie we worku na plece?

A Walek na to:

— A co ci do tego żydzie!

— Ny, jabym chciał widzieć, to może jabim kupił na dobry początek — rzekł żyd i pomacał worek na plecach Walka.

— Ej, nie tykaj się żydzie! — Walek na to — bo to trefne.

— Aj waj, to pewno wieprzowa żona z prosiętem.

— Ej, nie.

— To moży, moży ten biały bik, od naszy krasuli?

— I to nie.

Koniec końcem Walek pokazał żydowi to dziwo, jakie niósł na plecach. Żyd chciał gwałtem kupić ciekawy ten okaz, ale Walek się na sprzedaż nie zgodził. Wkońcu obiecał Walkowi dobre poczęstne, jeżeli go weźnie do spółki. Zgodził się Walek i idą obaj do dworu.

Dziedzic, pan dworu, wyszedł właśnie na ganek a zobaczywszy ich, przystanął i czeka. Przylatuje Icek i kłania mu się aż do ziemi i mówi:

— Jaki mi nałapiwali rarytny zwirzy, gewałt! jeszcze nikt taki dziwny zwirzy nie widział! to mi na spółki nałapiwali z Walkiem.

Walek wysypał z worka przed nogi dziedzica lisa i szczupaka, trzymających się wspólnie za pyski. Dziedzic, nasyciwszy się widokiem tych dziwnych zwierząt, kazał zanieść je do kuchni, a przybyłych pyta się, co oni za to żądają. A Icek na to:

— Jasny panie, mi to do spółki nałapiwali a ja jeszcze więcej, to mi myszlimy, co nam Jasny pan krzywdy nie zrobi.

Rozmyśla dziedzic, co by im dać za to, a Walek mówi:

— Proszę jaśnie pana dziedzica, jak spółka to spółka, jabym prosił o 50 buków.

Żyd myśli: Dobrze i to, bo mam karczmę rozszerzać, to mi trza będzie drzewa do budowy. Ale czem więcej, tem lepiej, więc krzyczy:

— Aj waj, jasny panie dziedzicu, to mało, co Walek mówi, bo gdybyśmy te dziwny zwirze ponieśli na targ, tobiśmy więcej wzieli za nich.

A Walek na to:

— Cicho żydzie! Nie nudź pana dziedzica! Ja nie jestem łakomy, to ci i swoją połowę daruję.

Mówiąc to, rozpowiedział całą rzecz dziedzicowi.

I nie było rady: Icek poszedł po buki. Otrzymał 50 buków na ławie, że ledwie co dolazł do domu i potem co miał wódkę sprzedawać chłopom, to Ickowa musiała go smarować, bo nie mógł się ruszyć. Walek dostał od dziedzica dwa woły a Icek, wylizawszy się, już nie chciał nigdy spółki z nikim a szczególnie z Walkiem.

Michał Wojnarowicz.

SZCZĘŚCIE.

Obrazek z życia.

— A więc cały majątek — mówił notaryusz, pan Obrąpalski do Wojciecha Grzymały — cały majątek, jaki pozostawił wasz stryj Józef, zapisał testamentem dla was.

Słowa te nie zrobiły na Grzymale żadnego wrażenia. Stał nieopodal progu i gniótł wyszarzaną czapkę barankową w ręku, jak gdyby nie wiedział, co ma odrzec na słowa notaryusza.

— Majątek to nielada! — ciągnął dalej notaryusz — samego ornego gruntu czterdzieści morgów, ziemia by masło, trzy morgi łąki i kawał lasu. Prócz tego zostawił nieboszczyk pięć tysięcy koron, złożonych na książeczkę w kasie. Cały ten ogromny majątek zapisał nieboszczyk swojemu najbliższemu i, zdaje się, jedynemu krewnemu, to jest wam.

Notaryusz przerwał i wpatrzył się uprzejmie w twarz zakłopotanego Wojciecha. Sądził on, że szczęście, jakie spotkało Grzymałę, odbiera mu chwilowo mowę i czekał kiedy ten wybuchnie strumieniem radości. — Lecz ten stał dalej zakłopotany i milczący.

— Niejeden na taką wiadomość skoczyłby pod samo niebo z radości — rzekł znowu po chwili notaryusz — a wy szczęście swoje przyjmujecie obojętnie i bez słowa uciechy.

Wtenczas milczący dotychczas Wojciech Grzymała zwrócił oczy na notaryusza i zapytał:

— Proszę pana, czy pan wie, co to jest szczęście?

Notaryusz wydął wargi, począł przerzucać kartki papieru na biurku, jakby się namyślał, co ma odrzec.

— Szczęście — odrzekł po chwili — to zależy jak komu: dla jednego będzie to szczęściem, dla drugiego tamto. Każdemu jednak do szczęścia potrzebny majątek.

— Nie, panie! Szczęście dla wszystkich jest jednakowe, a da się ono określić w kilku słowach.

Notaryusz uśmiechnął się z politowaniem, że prosty chłop chce mu szczęście tłómaczyć. Zaciekawiony jednak, odłożył papiery, zapalił papierosa i czekał.

— Każdy człowiek — mówił dalej Wojciech — czy to pan wielki, czy żebrak, może nazwać się szczęśliwym, gdy posiada wtedy to coś, czego w danej chwili potrzebuje. Niech pan da głodnemu bogaty strój, to może on być na chwilę uradowany, ale szczęśliwym zwać się nie będzie. Z drugiej strony trzęsącego się od zimna i zmarzniętego nie uszczęśliwi i najsmaczniejsza potrawa, ale ogień i ciepły kożuch. Widzi pan więc, że nie majątku, ale nieraz bardzo drobnej rzeczy człowiekowi potrzeba do jego szczęścia.

— No tak! — przerwał notaryusz — ale kto ma majątek, ten wszystko mieć może.

— Niekoniecznie! Dziwił się pan, że ja na wiadomość o wielkim spadku nie radowałem się, lecz zostałem obojętny i zakłopotany. I rzeczywiście majątek ten obecnie nie dałby mi szczęścia, ale owszem życieby mi zatruł na starość, dlatego też nie chcę obecnie tego majątku. Przed laty jednak drobna część tego mienia dałaby mi była szczęście prawdziwe.

Zamilkł Grzymała na chwilę, jak gdyby się cofnął myślami w przeszłość. Notaryusz nie przerywał milczenia, bojąc się, by myśli tych nie spłoszyć, bo był ciekaw słów Grzymały.

Ten po chwili tak ciągnął dalej.

— Gdym był mały, rwałem się do świata, do nauki, do pracy. Niestety, ojciec odumarł mnie, gdy miałem zaledwie lat 12. Chciałem koniecznie uczyć się, połykałbym był każde słowo nauki. Ale ojciec mój nie pozostawił żadnego majątku, więc marzenia o nauce zostawały nieziszczalne: opiekun oddał mię do służby. Wtedy przyszedł mi na myśl mój bogaty stryj. Poszedłem do niego i na kolanach błagałem, aby mnie dał uczyć. Myślałem, że jako bezdzietny wysłucha mej prośby, ale, niestety, wyśmiał mnie tylko. Z goryczą w sercu odszedłem, aby nigdy więcej o nic nie błagać.

Otarł Grzymała pot, który mu na oblicze wystąpił, a po chwili mówił dalej.

— Postanowiłem wtedy nie udawać się więcej do stryja, a jednak jeszcze raz tam poszedłem. Jednego roku przyjechał na wakacye syn nauczyciela i przywiózł ze sobą rozmaitych gazetek kilkanaście. Dobry to był chłopiec, więc na prośbę moją ofiarował mi z nich kilka. Przeczytawszy je, tak zasmakowałem w czytaniu, że mimo mej ambicyi i dumy, poszedłem do stryja z błagalną prośbą, aby zaprenumerował dla mnie jaką gazetkę. Lecz stryj wyśmiał mnie tylko. Drobna sumka stryjowska byłaby mi dała wtedy tysiąc razy większe szczęście, aniżeli dziś cały jego majątek.

I znów Grzymała odetchnął na chwilę a twarz jego pokryła się zadumą. Notaryusz patrzył na niego z coraz większem zainteresowaniem.

— Minęło potem lat kilkanaście — mówił Wojciech dalej. — Pracą i oszczędnością dorobiłem się tyle, żem nabył cztery morgi gruntu i maleńką chatynkę. W tym czasie poznałem w sąsiedniej wsi dziewczynę równie ubogą, jak ja, którą pokochałem całą siłą serca mojego. Pobraliśmy się i byliśmy szczęśliwi, choć, niestety, niedługo. Gdy nas Bóg obdarzył pierwszem dziecięciem, towarzyszka życia mojego zapadła w ciężką chorobę i w parę tygodni umarła. Poszło za nią i maleństwo nasze. I znowu w czasie choroby mej żony udawałem się o pomoc do stryja po raz trzeci, aby najdroższą mi istotę ratować, ale stryj mój powiedział tylko, że choć żona umrze to i tak dziadów na świecie nie braknie. Nie kląłem i nie złorzeczył stryjowi, ale ból mój ofiarowałem Bogu i żyłem dalej ze smutkiem i strapieniem mojem.

Łza ukazała się na oku Grzymały. Notaryusz powstał i uścisnął spracowaną dłoń chłopa.

— Dlatego — kończył swą mowę Wojciech — mienia stryjowskiego ja nie przyjmuję, przyjąć nie chcę. Niech sąd zrobi z nim, co będzie chciał zrobić, ale majątek ten uważałbym za moje nieszczęście.

Notaryusz próbował tłómaczyć Grzymale niewłaściwość takiego postępku, ale napróżno. Wojciech uparł się, a na upór niema rady. Notaryusz mimo sprzeciwiań się Grzymały, pozostawił mu jeszcze tydzień czasu do namysłu, po którym dopiero miał zawiadomić sąd o postanowieniu spadkobiercy.

Nie czekał jednak całego tygodnia; po upływie bowiem dni pięciu zjawił się Grzymała w kancelaryi jego i odezwał się w te słowa:

— Przyszedłem, aby odwołać zrzeczenie się spadku. Postanowiłem inaczej. Jest w wiosce naszej więcej takich chłopców, jakim ja byłem w latach dziecinnych, chłopców pragnących nauki i oświaty; mogą być tacy nieszczęśliwi, którzy będą potrzebować na pomoc lekarską zasiłku, jak ja go potrzebowałem, niech więc pan notaryusz będzie tak dobry i zarządzi tak, aby dochody z tego majątku szły na takie cele i niosły promienie szczęścia potrzebującym.

Antoni St. Bassara

Król w niewoli u Kuźmy.

Smutne były ostatnie lata naszej wolności. Na tronie polskim zasiadł Stanisław August Poniatowski, ulubieniec carowej Katarzyny II i robił to, co ona mu kazała. Ludzie, kochający Polskę, widzieli zło i starali mu się zapobiedz. W tym celu zawiązali konfederacyę w miasteczku Barze i postanowili wbrew woli królewskiej ratować zagrożoną ojczyznę.

Ponieważ król był główną przeszkodą konfederacyi, gdyż wielu Polaków nie chciało występować przeciw niemu, przeto konfederaci postanowili pojmać Stanisława Augusta. Zamiar, pomyślany przez konfederata Strawińskiego, udał się początkowo. Gdy król jechał powozem w celu odwiedzenia chorego wuja, konfederaci otoczyli powóz i zmusili go, że dosiadł konia i pojechał, gdzie mu kazano.

Część konfederatów tworzyła pod wodzą Łukawskiego straż przednią; drugą, przy królu, prowadził Kuźmiński, a właściwie Kuźma, gdy sam Strawiński główny dowódca straży królewskiej z resztą stanowił straż tylną. Bez wszelkiej przeszkody przebieżono miasto aż do rowu, którym było obwiedzione, a w którym Strawiński upatrzył miejsce jako tako dogodne do przebycia go konno.



Oddział Łukawskiego, przebywszy rów z łatwością, nie zatrzymał się ani chwili, co było błędem najwyższym. Pod królem bowiem ulgnął koń, a następnie ulgnął mu w błocie trzewik, który trzeba było zastąpić butem, co wszystko spowodowało taką zwłokę, że tymczasem Łukawski już się oddalił. Na dobitek pozostał i Strawiński z przesadnej ostrożności w mieście. Gdy zatem Kuźma z królem i swoimi dostał się za rów, zmylił wśród ciemnej nocy drogę i zamiast podążyć ku laskowi Bielańskiemu, gdzie był punkt zborny zejścia się trzech hufców, zapędził się w inną stronę na moczary.

Ponieważ Kuźma nie umiał się zoryentować, wysłał kilku ludzi na zwiady, a gdy ci nie wrócili, znów kilku i tym sposobem został tylko sam z królem, który, korzystając z tak dogodnej sposobności, zaczął go namawiać, aby mu wrócił wolność, a może być pewien najsowitszej nagrody.

Konfederat, pomny uroczystej przysięgi, którą niedawno wykonał, opierał się narazie stanowczo, lecz gdy nikt z ludzi wysłanych nie wrócił i gdy w niedalekiej odległości ukazało się światło, przemogła wkońcu wymowa królewska.

Kuźma odprowadził go w kierunku światła, do domu młynarza, pozwolił w dodatku, by wysłał młynarza z kartką do komendanta gwardyi swojej na zamku i pozostał na straży przy nim aż do nadejścia powozu pod zasłoną oddziału tej gwardyi.

Jak po porwaniu Stanisława Augusta wszyscy potracili głowy i największe powstało zamieszanie, tak spowodował niespodziewany jego powrót ogromny ruch w Warszawie.

Król, uszczęśliwiony wielce, że mu się nadarzyła tak piękna sposobność odegrania roli bohatera, opisywał wszystkim w sposób niezmiernie patetyczny, mniemane niebezpieczeństwo, jakie miał przebyć w przeciągu tej strasznej nocy. Wyrażał przytem ubolewanie swoje z powodu, że go nie zaprowadzono do Częstochowy, ponieważ nie wątpił, że jak w lesie Kuźmę, tak byłby w Częstochowie w ciągu kilku godzin, wymową swoją skruszył i przywiódł do upamiętania wszystkich tamtejszych konfederatów. Kuźmę, któremu przyrzekł zupełne bezpieczeństwo i nagrodę, osadzono pod nieuciążliwą strażą na zamku i rozpoczęto z nim śledztwo, aby wykryć i ukarać sprawców zamachu na osobę królewską.

Nieudanie się zamiaru Strawińskiego naraziło nietylko samą Konfederacyę, której jeneralność nie wiedziała o zamierzonym zamachu, ale i całą Rzeczpospolitę na najgorsze następstwa, do czego niemało przyczynił się sam Stanisław August. Chociaż bowiem wiedział, że to nie był zamach na jego życie i że dlatego tylko jedynie chciano go uprowadzić z Warszawy, aby nie mógł pod naciskiem gróźb moskiewskich działać na szkodę Konfederacyi, oskarżył ją przecież w swych listach do wszystkich dworów i rządów europejskich o zamiar pozbawienia go życia.

Nadchodziły też zewsząd odpowiedzi monarchów ówczesnych, potępiające czyn tak ohydny i wynurzające radość ze szczęśliwego ocalenia króla. Najostrzej oświadczył się o tym zamachu Fryderyk II król pruski, a podniósłszy z naciskiem jego zbrodniczość, wynurzył przekonanie, że wszyscy monarchowie powinniby poczytać sprawę tę za wspólną i bez wachania przystąpić połączonemi siłami do wytępienia tego »ogniska królobójców«, jakiem jest Konfederacya. Dobijając właśnie targu o podział ziem polskich, z rozmysłu narobił tyle hałasu w Europie, z powodu mniemanego zamachu na życie Stanisława Augusta, aby potem mniej się wydał rażącym podział Rzeczypospolitej.

Zdaje się, że był to jeden z powodów, że mocarstwa nie zaprotestowały później przeciwko rozbiorowi Polski.

Ciekawem jest, że w krajach oddalonych od Polski, zamach na Stanisława Augusta uważany był za komedyę odegraną zręcznie dla zohydzenia Konfederatów w kraju, a podniesienia króla i zjednania mu sympatyi. Oczywiście nie była to komedya, ale zamach, choć nierozsądny, ale rzeczywisty.

Bądź co bądź nie udanie się owego zamachu przyspieszyło upadek konfederacyi barskiej, a temsamem i rozbiór Polski.

Gdyby król był szedł z Konfederacyą a nie słuchał poleceń rosyjskich, nie bylibyśmy dziś w niewoli i nie musielibyśmy słuchać obcych rozkazów.

Umieszczony obrazek przedstawia chwilę, gdy gwardya królewska, uwiadomiona przez młynarza, przybywa na pomoc królowi. Stanisław August siedzi przed młynem, obok niego stoi Kuźma, a z zajeżdżającego powozu wysiadają sprzymierzeńcy królewscy.



Maciek Bzdura gada:

Gadają wszyscy ludzie, gadają gospodarz, gadają gospodyni, a już najbardziej gada Kaśka Myrdalonka:

— Maciek Bzdura zeń się, bo ci juz cas po temu.

Juści! nie śtuka tak gadać, bo gęba na to, coby gadała, ale kiedy cas chłopu się zenić, to zaden mechanik nie spenetruje. Ja, nie patrząc na ludzkie gadania, sam od dawności przemyśluje, kiedy będzie cas do zeniacki.

Teraz, nie przymirzając, niktóre rzecy padają, zeby dobrze było babę imać, bo Pan Jezus zytka nie poskąpił a i zimniacki na schwał się udały. Co prawda, to tam zimniacki trochę robacliwe, ale to nic nie skodzi, bo dzień krótsy, to się je jada wiecorami po omacku, to ta na chrobaki nikt nie będzie uwazał. Urodzaj przemawia za zeniacką.

Ale przeciw zeniacce gada ta drogość, jaka w całem kraju się rozpanosyła. Zeby to baba miała gębę ino do gadania, to nicby się było ozenić, ale kiedy one bezkurcye gęby mają i do zarcia. A co jedna baba na tydzień zeźre, toby tem się chłop chował bez cały rok.

Cyisik pasirb, to takie do mnie przysłał pisanie z naganieniem do zeniacki:

Kochany Macieju! zawołania Bzduro!
Pożytecznie piszesz w tygodniku »Roli«,
Ale do żeniaczki jakoś ci nie sporo,
A przecież twą Kasię, to aż serce boli,

Onaby się chciała, choćby dzisiaj wydać
I codzień spogląda w okienko swej chatki,
Czyli tam Maciusia z gorzałką nie widać,
I codzień się skarży na ciebie do matki,

Ruszże się Macieju, bo jesień jak złoto,
I czas żeniaczki jest dobry dla ciebie,
Bierz jak się darzyło Kasię Myrdalonkę,
Abyś w adwencie nie przeklinał siebie,

Bo i my także, czytelnicy »Roli«,
Radzibyśmy być na twojem Maciusiu weselu,
By się ucieszyć, natańczyć dowoli,
Być uczestnikiem przyjemności wielu.

Sądzę, że twoje serce tem się wzruszy
I drapniesz w który dzień do swojej Kasi,
I że w gazetce o twojem weselu
Wnet wyczytają czytelnicy nasi.

Władysław Pasierb.

Takie otrzymałem pisanie, ale ja i bez pisania wiem, ze nię ino Kaśkę, ale kuzdą babę na chłopa serce boli i radaby go cem duchu złapać, kieby się jej ino dał.

A zeby to choć z baby był jaki pozytek. Jak się ozenis, to nie dość, ze baba ci dziecisków nasypie, ale jesce, co gorse, całe obejście zapchli. Słuśnie tez powiada mój somsiad Bartek Gwizdała, ze najlepiej człowiekowi być bezdzietnym kawalirem.

I o tem takze wiem, ze Kaśka ślipie bez okno wyscyrza, cy ja do ni z gorzołką nie idę, ale mnie się wszyćko przy tem widzi, ze ona bardzi za gorzołką patrzy, jak za mną. Wiadomo przecie, ze są niktóre baby, co lubią chlać gorzołę jaz hej. Chłop, jak się uchla, to wygląda jak prosię, ale baba jak se poddulda, to wygląda akuratnie, jak dziesięć prosiąt.

Kaśka, ta niby moja, to psiamać morowa kubita. Ona potrafi gorzołkę smolić, jak jaki organista. Ino łeb przekrzywi do góry i chlust! kielisek za kieliskiem, a dopiro za dziesiątem splunie na ziemię. Ja bo jak dwa chlapnę, to mi się na sercu krzywo robi, a w głowie coś mi gada: Hulaj Maryśka!

Ale to nic dziwnego, bo Kaśka baba spaśna, to nim gorzołka jej do wnątrza dojdzie, to juz śni wywietrzeje, a ja jesce nie połknę, a juz wierci i kręci we mnie.

Ten mój doradca pan Pasierb, to musi jesce okrutnie młody chłopcysko być, kiedy mu się tak hulania zachciwa. A bo to hulanie to taka dobra rzec. Ani se tego człowiek nie poi, ale jesce gorzej, bo co zjad, to cemduchu wytrzepie i znowuby jad.

Jagem był młodsy i pasał cielęta, tom raz próbował hulać. Na paświsku stał kołek, wbity do wiązania koni, to ja się go chycił i hulałem koło niego z pół godziny, ale nie dość ze mi się we łbie zakręciło, ale jesce jagem przygnał cielęta do chałpy i zacął jeść, tom zjad za siebie, za gospodarza, za gospodynię i mliko co było la cieląt, wszyćko wypił i jesce mi mało było. La tego tez padam kuzdemu, kto nie chce głodu cierpieć, niech se z hulaniem da spokój i za zycia i po śmierci.

Zeby to choć hulanie co ładnego było! Złapie się dwoje ludzi i kręcą się koło siebie i kręcą, jak konie w kieracie, jaze się im w głowach pokręci.

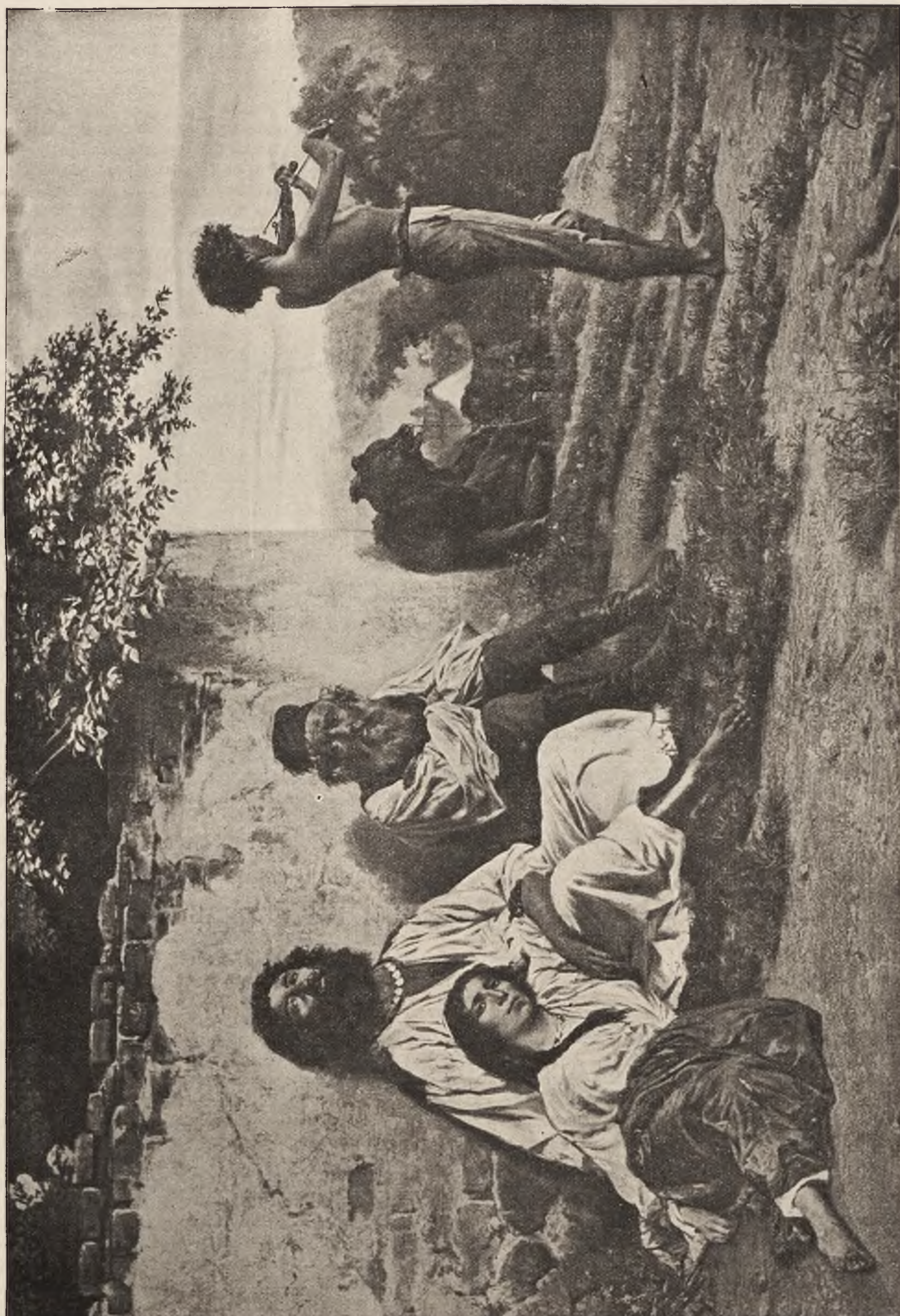
Ale nie myślcie se, ze ja bez to wszyćko, co gadam, o zeniacce wcale nie myślę. Gdzie tam! Zeniacka ma i swoje dobre strony, la których człowiek siła krzyzików znieść gotów.

Babskie gadanie naprzykład ma także swoje dobre strony i la tego gadania babę brać warto. Kuzden gospodarz, co ma babę gadatliwą, powinien se sprawić wiatrak do mielenia zboza. Jak niema wiatru, to trza ino babę podraźnić, a jak ona zacnie gębą pytlować, to się wiater zrobi i wtedy mozna na wiatraku mielić. A niektóra baba to potrafi bez ustanku, od rana do wiecora gadać a casem to i bez sen jesce pytluje.

A Kaśka do takiego gadania w sam raz udana. Ona jak pojęna wkiejsik gębować na swoją gospodynię, to zaraz w cały wsi rozpocęły psy ogromne scekanie. I tak ciągiem scekały i scekały, a co się jeden zmordował, to drugi zacynał. Ale na ostatku wszyćkie się pomordowały: ustał scekać i ten carny od Grzeli, ustał krasy od Kacpra, ustały i inne a nawet wójtów ustał a Kaśka ciągiem gadała i gadała. Kościelny myślał wtedy, ze jest trzęsienie ziemi i chciał na trwogę dzwonić, ale mu jegomość wytłómacyli, ze to ino Kaśka gada.

Taką babę, to rozumię mieć. Jak przyjdzie zyto do wiania, to ja będę na boisku ciskał ziarno siedlecką a Kaśkę postawię na drugim końcu i kazę jej gadać, to wszyćkie plewy wytrzepie.

Zdaje się, ze teraz trza juz będzie usłuchać dobrej rady moich przyjaciół i nieprzyjaciół i do ozeniacki się zabrać, bo z tego będzie i ta korzyść, ze jak się zmęcę gadaniem w »Roli«, to mnie Kaśka, abo jaka inksa panienka wyręcy.



SPOCZYNEK CYGANÓW.

Spoczynek cyganów.

Tam pod lasem, na ustroni, jakaś tęskna piosnka dzwoni i po wiejskiej pól równinie razem z wiatrem ku nam płynie.

Tam przy lesie zamek stary. Otoczyły go konary drzew odwiecznych a w ich cieniu cygan folgę dał marzeniu.

Gra na skrzypcach małe dziecię — stary duma o tym świecie, który cały wzdłuż przemierzył... (Bez włóczęgi onby nie żył).

Szronem przypadł mu włos kruczy... lat już kopa, jak się włóczy — dziś tak samo, jak przed laty — bez rodzinnej, własnej chaty.

Do wrót każdej chaty pukał — tu powróżył, tam oszukał i tak pędził żywot marny, czy w noc mroźną, czy w dzień skwarny...

Dziś pod murem, w drzewa cieniu, folgę swemu dał marzeniu, na pierś starą głowę skłonił i żałośną łzę uronił...

Łzę uronił, bo grób bliski a on jeszcze od kołyski szczęścia nie miał ani chwili, choć zbiegł czasu kawał tyli.

Obok starca cygan drugi. Okiem rzucił na te strugi, które płyną hen przez pola — na myśl przyszła jego dola.

I myśl płynie życia szlakiem: Był u ojca jedynakiem i z nim żywot wiódł tułaczy, co krwią ślady swoje znaczy.

A w tułaczym tym żywocie, kędy trosk i bolów krocie, zabłysnął mu promień jasny, taki miły, piękny, własny...

Szczęście trwało to chwileczkę... Poznał piękną cyganeczkę. I pokochał...

W poniewierce choć jest cygan, lecz ma serce.

Więc pokochał, jak tę zorzę, jak to słonko, jasne Boże, więc pokochał jak swe życie, to cygańskie, młode dziecię.

Pokochawszy, brał za żonę... Lecz wnet znikły sny marzone... W pięć lat chodził już w żałobie: jego luba legła w grobie..

I spoczęła gdzieś w ustroni, gdzie cygańska pieśń nie dzwoni, gdzie nikt nad nią nie zapłacze, chyba tylko kruk zakracze.

— Krótka radość — smutek długi — szepcze cicho cygan drugi, a z westchnieniem myśl ulata w szczęśliwości krótkie lata.

Przy cyganie w drzew tych cieniu zatopiła się w marzeniu ukochana córka jego, pamięć szczęścia minionego.

Sparła główkę, o czemś marzy, szczęście tryska z młodej twarzy; wiedzieć nie chce, że w przyszłości może ku niej ból zagości...

Na skrzypeczkach gra pacholę. Zapuściło wzrok swój w pole, co się wije smugą ciemną, i gdzieś patrzy w dal tajemną.

Graj sieroto, graj niebogo! Idź ciernistą twoją drogą. Niewygoda twoją panią a ty biedne idźże za nią.

Przytulili cię cyganie... Dali serce — graj im za nie. Choć cygańskie jesteś dziecię, odwdzięczać się musisz przecie!...

Gdy twój rodzic, cygan sławny, pomarł sobie w czas niedawny, ciebie wzięli ci cyganie... dali serce, graj im za nie.

Graj im za to, graj wesoło! Rozpogadzaj starca czoło; niechaj uśmiech też otoczy i wdowcowe smutne oczy.

Tyś cygańskie tylko dziecię — nie dla ciebie jest na świecie szczęście, bo ty ino smutki znajdziesz. Graj dziecino!...

Antoni St. Bassara.

Rubin wezyrski.

Powieść z roku 1810.

XIII.

W godzinę może po moim przyjeździe wezwano mię na obiad. Zastałem już wszystkich w sali jadalnej a między nimi i Julcię. Była blada, oczy miała zaczerwienione i niespokojne. Ze drżeniem podała mi rączkę, przyczem uścisnęła mię przelotnie dość silnie. Zauważyłem także lekkie wahanie się ze strony regimentarza i jakiś wyraz surowy na twarzy, kiedy się ze mną witał. Ciocia wprost traktowała mnie, jakby mię nie było. Markiz zato przesadzał się dla mnie w grzecznościach.

Zrozumiałem to postępowanie — widocznie regimentarz i ciocia wiedzieli już o mej bytności w sułtańskiej komnacie i obrażeni byli na mnie. Do pewnego stopnia przyznawałem im słuszność, ale nie pora była tłómaczyć się i uniewinniać, trzeba było czekać na sposobność, a tymczasem zadać cios markizowi. W duszy już radowałem się jego skutkami.

Marya zaznajomiła nas z hrabią Holmem. Był to wysoki, szczupły mężczyzna, liczący około czterdziestu lat, bardzo elegancki i uprzejmy. Czoło wysokie, gładkie, było już nieco łyse. Zresztą twarz zimna, spokojna, pewna siebie, nie dawała wcale poznać, co się pod nią kryje. Mówił bardzo wiele i dobrze, opowiadał o swoich podróżach, o dalekich krajach, które zwiedzał, z tą otwartością, która nie pozwala wątpić o prawdzie słów jego. W rozmowie tej dopomagał mu markiz. Pilnie obserwowałem zachowanie się względem siebie tych ludzi i nic takiego nie zauważyłem, coby kazało sądzić o innym niż przyjacielskim stosunku. Markiz ze zwykłym sobie zapałem i teatralnemi ruchami rozprawiał o Pradze czeskiej, gdy ja, postanowiwszy sobie skorzystać ze sposobności, rzekłem:

— Czy pan, markizie, znasz dobrze Czechy?

Spojrzał na mnie i odpowiedział obojętnie:

— Nie, tak, w przejeździe tylko zwiedziłem niektóre miasta.

— A nie byłeś pan w Lutomyślu, który Niemcy nazywają Leitomischlem?

Zadając to pytanie, rzuciłem ukradkiem okiem na Holma. Wpatrywał się pilnie w markiza, a na ustach przebiegł mu lekki, nieznaczny uśmiech ironiczny. Twarz markiza była spokojna, tylko warga mu nieco silniej drgała. Zdawał się namyślać, przypominać sobie.

— Lutomyśl, Lutomyśl?... nie, nie znam tego miasta.

A potem, wpijając we mnie swe czarne, przenikliwe oczy, spytał.

— Dlaczego pan się pytasz o to miasto?

— Ach, to cała, dziwna historya.

I obróciwszy się do Holma, ciągnąłem dalej.

— Dziwnie czasem się rzeczy układają na tym świecie. Dziś, kiedy pan, panie jenerale, miałeś tu przyjechać, spotkałem się w Stepnicy z pańskiem nazwiskiem.

— Ach, tak — rzekł hrabia obojętnie — w początkach przeszłorocznej wojny stałem w tem miasteczku przez kilka dni obozem z moją dywizyą.

— Tak właśnie, będąc u burmistrza dzisiaj dla odebrania żołdu dla mego plutonu, znalazłem tam przylepione na ścianie obwieszczenie, podpisane przez pana jenerała, wzywające wszystkich, aby chwytali Jana Jeniczanka, który skradł z kasy wojskowej 150 tysięcy guldenów.

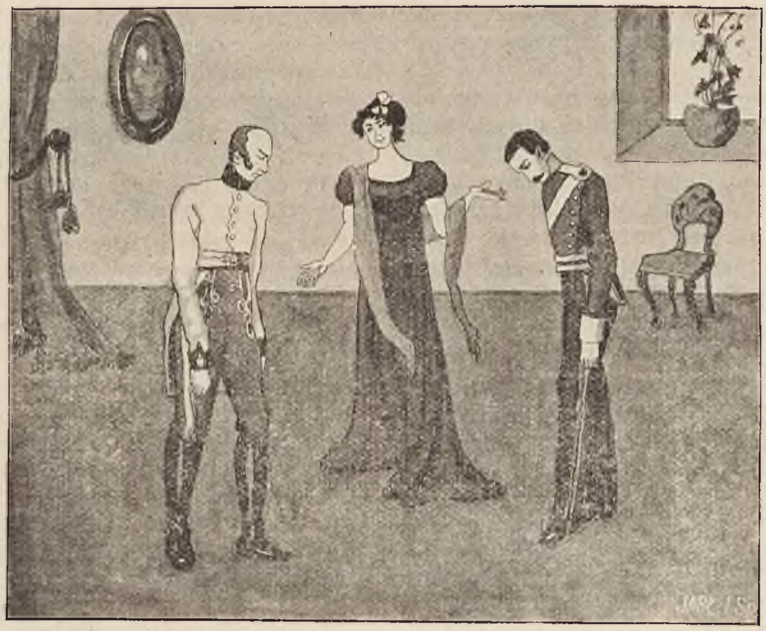
Mówiąc to, nie spuszczałem ani na chwilę wzroku z markiza. Twarz jego zwykle trupio blada, te-

raz stała się siną, oczy mu latały, jakby dostał szaleństwa, warga drżała silnie, a ręka którą położył swym zwyczajem na stole, konwulsyjnie uchwyciła nóż i ściskała go z taką mocą, że wszystkie żyły naprężyły się na niej jak postronki. Hrabia zaś lekko się zarumienił, popatrzył na markiza i rzekł z wybornie udaną obojętnością:

— Tak, przypominam sobie, hultaja tego złapaliśmy i rozstrzelali w Chęcinach...

Poczem przeskoczył na inny przedmiot i począł mówić dość długo i z ożywieniem, co dowodziło, że chciał jak najprędzej zatrzeć wspomnienie o Jeniczanku. Markiz także szybko przyszedł do siebie i obdarzywszy mię strasznem wejrzeniem, począł się śmiać i żartować z gorączkowym zapałem. Twarz tylko regimentarza, który także patrzył na Hiszpana, była smutna i poważna.

Z rozmowy tej przekonałem się, że ów Jeniczanek jest dzisiejszym markizem, o czem wreszcie i poprzednio nie wątpiłem; że Holm i markiz są dwaj łotry, wspierający się nawzajem; że nakoniec regimentarz prawdopodobnie wie o wszystkiem, ale związany jest czemś takiem, co mu nie pozwala zedrzeć maski z łotrów. Przekonałem się również, że jakkolwiek pierwszy mój cios był niespodzianie i silnie wymierzony, sparaliżowany przecież został nadzwyczaj zimną krwą i przytomnością Holma. Nakoniec nabyłem tej pewności, że walka będzie uparta i straszna, ale nieczas już było cofać się, należało owszem działać szybko i stanowczo.



Marya zaznajomiła nas z hrabią Holmem.

W tym celu postanowiłem zaraz po obiedzie wysłać kogo pewnego do Chęcin, gdzie stał z drugim plutonem naszego szwadronu mój kolega i przyjaciel, prosząc go, ażeby przepytał się między tamtejszymi mieszkańcami, a jeżeli można przysłał urzędowne zawiadomienie, czy kto w roku przeszłym, między dniem 18 a 30 kwietnia, został rozstrzelany przez Austryaków w tem mieście?

Antka nie miałem pod ręką, latał gdzieś, zapewne za Zuzią, napisawszy więc list, zapieczętowałem go i zszedłem na dół, posłać po jednego z moich ułanów, Ogona, o którym już wspominałem, że był najlepszym śpiewakiem w plutonie, a którego zręczność i roztropność znałem dobrze. Właśnie schodziłem ze schodów, kiedy wyszedł z kancelaryi regimentarza markiz dziwnie jakiś zajęty, trzymając w ręku list opieczętowany i nie widząc mię wcale, pobiegł na dziedziniec. Stanąwszy na ganku, zauważyłem, że wszedł do stajni.

Nie zastanawiając się nad tem, wyszukałem Antka i kazałem mu wezwać Ogona, ażeby się stawił natychmiast przedemną konno i zbrojno. W pół godziny potem ułan gnał do Chęcin. Jakkolwiek do tego miasteczka liczono od pięciu do sześciu mil, spodziewałem się jednak, że przy szybkości jazdy i zręczności Ogona, będę miał odpowiedź najpóźniej jutro w południe. Do jutra więc odłożyłem stanowcze starcie.

Tymczasem spokojny i pewny siebie, udałem się do towarzystwa. W stosunku Holma do Julci nic takiego nie zauważyłem, coby mię drażnić mogło, a przecież widok tego uznanego jej narzeczonego napawał mi serce goryczą i rozpaczą. Hrabia był bardzo światowym, w obejściu jego z Julcią spostrzegłem pańską delikatność, uprzedzającą grzeczność, widocznie usiłował ją bawić i rozpędzić jej smutek, a czynił to tak zręcznie, że zdawało się, iż bawi całe towarzystwo. Był to wreszcie człowiek wykształcony, dużo czytał i dużo widział, stąd rozmowa jego była bardzo miła. Niekiedy tylko, przelotnie, zadumywał się i zdawało się, że ta zaduma była dość przykrą i smutną, bo wzrok jego nabierał jakiegoś przykrego wyrazu.

Po kolacyi regimentarz siadł, jak zwykle, do swej butelki miodu, ale nie zapraszał mię wcale na kieliszek, jak to dotąd bywało. W ogólności zauważyłem, że był smutny, zadumany i patrzył na mnie z pewną niecierpliwością. Wieczór był prześliczny, cichy, ciepły. Wyszedłem na taras za innymi i znowu spostrzegłem Julcię opartą o kamienny wazon, z którego zwieszały się liście kaktusu i powoju, oblaną księżycowem światłem, w białej sukience, jakby nadziemskie widmo jakieś. Podobieństwo z obrazem w sułtańskiej komnacie było tak uderzające, tak dziwne, że skamieniałem. Stanąłem nieruchomy i czułem, że trwoga jakaś zabobonna ogarnia mię całego. Zdawało mi się, że czytam na tem czole bielszem od białego księżyca, wyrazy:

— Oto wyszłam z grobów, by popatrzeć na ludzką niedolę.

Nagle uczułem bliskie dotknięcie mego ramienia i wyrazy:

— A co, nie podobna? oto zeszła z płótna, na którem jej ducha uwięziono przed dwoma wiekami.

Obróciłem się, markiz stał za mną i śmiał się cicho, szydersko, wlepiając we mnie szatański swój wzrok, z wyrazem najwyższej ironii i pogardy. Zirytowany do głębi rzekłem z oburzeniem:

— Dajże mi pan święty spokój; jeżelibym kogo miał nazwać upiorem, to chyba pana.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał mi się w twarz i pochylając się do ucha, syknął: — tak, jestem upiorem i umiem wysysać krew.

I śmiejąc się ciągle swym cichym, uwięzionym we wnętrzu śmiechem, odszedł do cioci, której począł prawić dusery.

— Śmiej się, śmiej — szeptałem — zapłaczesz ty jutro, kiedy zedrę z obydwóch was maskę, łotry!

Z tem wszystkiem byłem dziwnie niespokojny, dręczony jakąś tajemną trwogą i przeczuciami złowieszczemi, które, niestety, miały się sprawdzić rychlej, niż to mogłem przypuszczać. (Ciąg dalszy nastąpi).

Z TYGODNIA.

† **Filip Zaleski.** Dnia 21 września zmarł w Truskawcu ś. p. Filip Zaleski, przeżywszy lat 75. Wybitny ten polityk zajmował w swoim czasie najwyższe stanowiska w kraju i państwie. W latach od 1883 do 1888 był namiestnikiem Galicyi; ze stanowiska tego został powołany na ministra Galicyi i urząd ten sprawował do roku 1893. Jako orędownik spraw naszego kraju w Radzie Korony położył śp. Zaleski niemałe zasługi dla Galicyi, zawsze stojąc na straży jej interesów i broniąc samorządu. Niemniej obywatelskim duchem przejęta była jego działalność jako prezesa Koła polskiego, którą to godność po ustąpieniu z ministerstwa piastował do roku 1896. Był też posłem do Sejmu krajowego, wybierany stale przez okręg kossowski, gdzie bardzo był przez tamtejszy lud lubiany. Ś. p. Filip Zaleski był synem Wacława, znakomitego pisarza i pierwszego polskiego namiestnika Galicyi. Obecny zaś minister dla Galicyi, Wacław Zaleski, syn Filipa, podobnie jak ojciec, łączy zalety doradcy Korony z wysokiem poczuciem obywatela kraju.

Nowy minister wojny. Dotychczasowy austryacki minister wojny, baron Schönaich, ustąpił a ministrem wojny zamianował cesarz naczelnego komendanta wojsk w Bośni jenerała Auffenberga.

Sprawa drożyzny. We wszystkich prawie miastach Austryi odbywają się zgromadzenia i wiece nietylko robotników, ale i ludzi z warstw inteligencyi, z powodu drożyzny. Na zgromadzeniach tych uchwalane są wszędzie wnioski wydatnego podwyższenia płac. Ruch wiecowy z powodu drożyzny w ostatnich tygodniach wzmógł się dlatego, ponieważ 5 października ma być otwarty parlament. Wiecujący mają na celu przez posłów wymódz na rządzie nowe podwyższenie płac. W razie takiego podwyższenia parlament musiałby uchwalić sposób pokrycia tego wydatku. Obciążonoby znów ludność produkującą, więc i włościan nowym podatkiem a ci, coby podwyżkę otrzymali, nicby na podwyższeniu płac nie zyskali, jak to miało już miejsce przy poprzednich podwyższeniach pensyi. Kamienicznik obciążony nieco wyższym podatkiem, zażądałby więcej za czynsz mieszkalny, rzeźnik, piekarz, kupiec za towary swoje i tak szłoby w nieskończoność. Włościanie, uginając się pod ogromnemi ciężarami podatkowymi, nie urządzają wieców przeciwdrożyźnianych; oni domagają się tylko należnych im ulg, aby ich praca na roli, chów bydła i t. p. przynosiły im odpowiednią korzyść. Nasz polski zaś chłop w szczególności może być dla miejskich ludzi przykładem, jak zmagać się z biedą, gdy czasy gorsze nastaną, jak się przystosować w wydatkach do dochodów. Wylewy, posuchy, grady, powodujące klęskę nieurodzaju, nauczyły naszego rolnika przezornej gospodarki w łasnym domu.

Stracenie zabójcy Stołypina. Bagrow, który zamordował rosyjskiego prezydenta ministrów, został skazany przez sąd wojenny w Kijowie na śmierć przez powieszenie i dnia 25 września wyrok wykonano.

Wojna włosko - turecka zaczyna poważnie zagrażać. Rozchodzi się o kraj północno afrykański Trypolis, należący do Turcyi, który Włochy chcą zagarnąć. Korzystając z tego, że flota morska turecka jest bardzo słabą, bo ma niewiele i starych okrętów wojennych, Włochy już z początkiem ubiegłego tygodnia wysłały do Trypolis swe okręty wojenne i 60.000 wojska lądowego. Czy jednak na lądzie trypolitańskim pójdzie Włochom łatwo z obsadzeniem kraju, to rzecz wielce wątpliwa, gdyż miejscowa ludność mahometańska wierną jest Turcyi i nie chce dostać się pod panowanie włoskie.

KRONIKA.

Numer dzisiejszy wydajemy w zwiększonych rozmiarach o cztery strony druku, aby módz dać obszerniejsze wiadomości o »Podarkach szczęścia« i o Kalendarzu »Roli« na rok 1912. Prosimy naszych prenumeratorów, aby zaraz nadsyłali pieniądze na rok 1912, gdyż wolelibyśmy, aby korzystniejsze podarki w książkach do nabożeństwa dostały się przeważnie w ręce naszych dawniejszych, wiernych Przyjaciół.

Czeki dołączamy do dzisiejszego numeru i prosimy o nadsyłanie z wyraźnie napisanym adresem: imię, nazwisko, miejscowość, poczta. Na jednym czeku można przesłać kilka prenumerat naraz. Kto chce zapisać białe miejsce na odwrotnej stronie, musi nalepić markę za 5 halerzy.

Kalendarz zaczniemy wysyłać za kilka dni tym wszystkim, którzy prenumeratę całoroczną na r. 1912 i na kalendarz nadesłali, razem **4 k. 50 h.** Prenumeratorowie kwartalni i półroczni kalendarza otrzymać nie mogą. O wysłaniu kalendarza każdy będzie zawiadomiony osobną kartką. Zwracamy uwagę wysyłających pieniądze czekiem, aby się nie niecierpliwili, gdyż czeki idą przez Wiedeń, zatem dochodzą nas na czwarty lub piąty dzień. Przekazy otrzymujemy zaraz nazajutrz.

(J. K.) **Zbawienne skutki pracy.** Między nami jest bardzo dużo takich ludzi, którzy nie chcą pracować z tego powodu, że nie mają do pracy zaufania, nie widzą odrazu wielkich skutków swej pracy, lub też nie mają — co najgorsza — żadnej nadziei do poprawienia przez pracę swej doli w ojczystym kraju. Tym ludniom pragnę pokazać jeden z tysiąca przykładów, co cicha, wytrwała i w imię Boga rozpoczęta praca zrobić może.

We wsi Cykowie, niedaleko od Oleska, mieszka pewien gospodarz, który przed dwoma laty dopiero się tu osiedlił. Przyjechał był prawie z próżnemi rękoma, gdyż majątek jego składał się zaledwie z dwóch łóżek, poduszki, kocyka i z kilku sztuk naczynia. Zamieszkał w chacie wynajętej i zaraz wraz z żoną wziął się do pracy, którą co dnia zaczynał w imię Boga. Sam chodził na mularkę, zarabiając dziennie 5 do 6 koron, wieczorem zaś trudnił się szewstwem. Pracowała też i żona jego, która chodziła na robotę, zarabiając również kilkadziesiąt centów dziennie. — W zimie zaś trudniła się szyciem, które przynosiło jej również ładny pieniądz. Wstawali raniutko o godzinie 3. Chodzili często do lasu na jagody lub grzyby, które potem sprzedawali. Jednem słowem godzinę czasu nie stracili marnie. Po roku ciężkiej pracy mieli już krowę, wieprzka, nieco drobiu i sprawili też sobie kilka sprzętów. Dzisiaj zaś, przy pomocy Boga, jest gospodarzem, mającym bydło, ogród, ładny kawał pola itp., a zapytany jak mu się powodzi, odpowiada, że jest nadzwyczaj szczęśliwy i zadowolony ze wszystkiego, bo jedynie szczera i uczciwa praca, zaczęta z Bogiem, może dać człowiekowi szczęście i wewnętrzne zadowolenie. Oto jest mały przykład, jakie szczęście dać może każdemu człowiekowi uczciwa praca na ojczystej ziemi.

O utrzymanie strojów ludowych. Zachowanie pięknych strojów naszego ludu ma dla nas nadzwyczajne znaczenie, ponieważ nigdzie tak szybko strój ten nie zanika, jak właśnie w Galicyi, do czego się w dużej mierze przyczynia wychodźtwo do Ameryki. Ministerstwo robót publicznych w Wiedniu zwróciło uwagę na ten objaw tak w naszym kraju, jak i innych prowincyach monarchii. Z końcem sierpnia wydało reskrypt do szkół przemysłowych i urzędów popierania przemysłu, w którym wzywa do urządzania wykładów o zachowaniu ubio-

rów ludowych w okolicach, gdzie one najbardziej znikają. Ministerstwo ofiaruje pokryć z funduszów państwowych trzecią część kosztów tych wykładów. W naszym kraju byłyby wykłady takie bardzo pożądane, bo ze znikaniem ubiorów ludowych znika dobry obyczaj, wiele cnót i szlachetnych właściwości ludu, upada przemysł domowy, dostarczający tych ubiorów, a ciężko zarobiony pieniądz idzie za jarmarczną szkaradną tandetę do rąk żydowskich.

Koń przebity dyszlem. W jednem z miasteczek środkowej Galicyi zdarzył się niedawno na jarmarku niezwykły wypadek. Dwie fury tak nieszczęśliwie najechały na siebie, że dyszel jednej przebił pierś konia przyprzężonego do wozu jadącego naprzeciw.



Na jarmarkach naszych wogóle z powodu ścisku i nieporządku często zdarzają się nieszczęśliwe wypadki, których ofiarami i ludzie nieraz padają. Przyznać trzeba, że i nadmierne podchmielanie wódką bardzo się do nich przyczynia.

Bajka o mądrym dziadu. W pewnej wsi nadwiślańskiej opowiadają sobie następującą ucieszną bajkę: Pewien dziad modlił się raz tak pod figurą św. Jana: Święty Janie, proszę cię o stukoronówkę, ale całą, bo jak będzie co brakować, to nie wezmę. Żyd podsłuchał tę modlitwę i chcąc się przekonać, co też dziad pocznie, podrzucił — 99 koron. Dziad przeliczył pieniądze i mówi: Kiedyś ty św. Janie dał 99 koron, to i koronę brakującą doniesiesz.

Żyd naturalnie domaga się zwrotu pieniędzy i skarży do sądu. Przychodzi wezwanie, aby obaj stawili się do sądu. — Żyd woła dziada, a ten mówi: Jakże pójdę, kiedym boso i nie mam płaszcza? — Ja ci pożyczę — mówi żyd. Idą tedy do sądu; sędzia wysłuchawszy skargi żyda, pyta dziada, co on na to? A dziad mówi:

Panie sędzio! ten żyd taki łakomy, żeby się nawet do moich butów i płaszcza przyznał. — A jakże — woła żyd — przecie to moje. — Nie mówiłem — woła dziad z tryumfem. Sędzia precz żyda wygnał, a dziad został przy pieniądzach i odzieniu. — Tylko nie wiadomo, czy mógł być taki głupi żyd.

Samobójstwo staruszki. Dnia 18 września o godzinie 5 rano w Kozach, obok Białej, 60-letnia wdowa Marya Kućka rzuciła się w zamiarze samobójczym pod nadjeżdżający pociąg, wiozący robotników. Koła lokomotywy odcięły nieszczęśliwej obie nogi, oraz zadały straszne rany na głowie i na całem ciele. Konającą Kućkową odwieziono tym samym pociągiem do Bielska, gdzie w parę chwil później zmarła w szpitalu.

(F. K.) **Uparty złodziej.** Przed paru tygodniami w Polskiej Lutyni, na Śląsku austr., niejaki Drzyzga wyrabiał cegłę na dom Wencla. Ów Drzyzga dowiedziawszy się, że gospodarze mają 1200 k. gotówki, postanowił przywłaszczyć ją sobie. Upatrzywszy stosowną chwilę w dzień biały, zrabował pieniądze, prawie gdy w domu nikogo nie było. Lecz Wenclowa, wracając z pola do domu, ujrzała go wychodzącego z domu a w chwil kilka zauważyła brak pieniędzy. Podejrzenie padło więc na niego i został zaraz aresztowany a wkońcu przyznał się do czynu, lecz oświadczył, iż jeżeli go będą aresztować, to nikt się o przechowaniu pieniędzy nie dowie a chociażby został nawet uwolniony, to je sam zużytkuje tylko na wódkę. Siedząc w więzieniu wykonywał jakieś prace więzienne, używając do tego spirytusu do palenia i nim począł więc także gasić swe pijackie pragnienie, twierdząc, że mu to nic nie szkodzi, mimo że w parę tygodni był już trochę spuchnięty, a przed kilku dniami został tknięty w ustępie apopleksyą. A więc pieniądze przepadły, a jego małe gospodarstwo zostanie sprzedane dla zwrócenia pieniędzy Wenclowi.

(F. K.) **Niezwykła uczciwość.** Stary fortepian po zmarłym stolarzu Adamie Robinie w Cieszynie na Śląsku austr., kupił Andrzej Zawadzki, tamże do swego składu fortepianów. Czyszcząc go, znalazł wewnątrz dwie koperty z papierami wartościowemi na 24.200 kor. Znalazca złożył te pieniądze w urzędzie podatkowym, aby prawomocni spadkobiercy mogli je sobie odebrać. Uczciwość to godna naśladowania.

Gromadne otrucie grzybami. W Oknie pod Katowicami, na Śląsku austr., zmarła wskutek spożycia grzybów trujących cała rodzina właściciela ziemskiego, Rożańskiego, złożona z 8 osób

(F. K.) **Samobójstwo.** Dnia 10 września obwiesił się w Karwinie, na Śląsku austr., na strychu niejaki Cimała, parobek zajęty w konsumie robotniczym. Przyczyna samobójstwa nieznana.

Ofiary upału. Podczas ubiegłego lata wśród upalnego popołudnia w południowych Węgrzech zdarzył się okropny wypadek, spowodowany gorącem nie do wytrzymania. Pewien wieśniak z żoną i trojgiem dzieci wracał wozem z jarmarku. Znaczna część drogi była nieocieniona, upał doskwierał do żywego ludziom i koniom. Nagle te zaczęły ponosić, gospodarz żadnym sposobem zatrzymać ich nie mógł i pędziły jak szalone po gościńcu, spuszczajacym się ku rzece.



W głębokich nurtach rzeki, gdzie wkońcu wpadły z wozem, potonęły wszystkie dzieci gospodarza; jego i żonę wyratowali wprawdzie ludzie znajdujący się opodal, lecz wieśniak zmarł wkrótce skutkiem udaru słonecznego, kobieta tylko ocalała. Wóz został zdruzgotany, jeden koń utonął. Obrazek nasz przedstawia chwilę, gdy konie pędzą ku rzece, gdzie jadący wozem znaleźli straszną śmierć.

(F K.) **Matka udusiła syna.** W tych dniach odbyła się rozprawa sądowa nad Kiedroniową Joanną z Rychwałdu na Śląsku austr., która udusiła swego 13-letniego syna Jerzego. Chłopiec ten mimo młodego wieku uciekał ze szkoły, wałęsał się i za-

czął popełniać oszustwa i kradzieże. W lipcu b. r. parę razy włamał się do kupca Kendziura w Pietwałdzie i popełnił kradzieże. Dlatego go uwięziono, ale sąd puścił go na wolność. Powróciwszy, schronił się do piwnicy a matka przyniosła mu tam obiad i błagała go, aby się poprawił. Wieczór matka znów go prosiła, by odmienił swe życie, lecz on oświadczył, że będzie jeszcze gorszym, że się włamie do kasy Raiffeisena w Porembie. Więc matka w przystępie rozpaczy zarzuciła mu sznurek na szyję i poczęła włóczyć po ziemi. Wkońcu jednak opamiętawszy się, uwolniła chłopca od sznurka, lecz tenże wnet skonał. Kiedroniowa przyznała się do czynu, tłumacząc, że zrozpaczona nie wiedziała, co robi. Sąd uwolnił ją zupełnie od winy.

Pięć dni bez ratunku. W Alpach tyrolskich zniknęła, wybrawszy się na wycieczkę w góry, pewna młoda malarka. Przez pięć dni, mimo poszukiwań, nie znaleziono zaginionej. Dopiero szóstego dnia wyprawa ratunkowa, złożona z 20 ludzi, znalazła nieszczęśliwą w stanie okropnym. Jak się okazało, spadła ze zbocza górskiego i legła bez przytomności w zakącie skalnym poraniona i z połamanemi nogami. Odzyskawszy przytomność, zaczęła wołać o pomoc, dziwnym jednak trafem, pomimo że leżała niedaleko miejsc bardzo uczęszczanych, nikt jej nie słyszał. W okropnym tym stanie spędziła nieszczęśliwa pięć nocy na deszczu i zimnie, w poszarpanem ubraniu i prawie zupełnie bezwładna. Nareszcie znaleziono ją oszalałą z rozpaczy, wycieńczenia i głodu i przeniesiono do szpitala, gdzie przychodzi podobno do siebie.

114-letni piechur. W ostatnich tygodniach często pojawiają się w gazetach wiadomości o ludziach, którzy doczekali niezwykle sędziwego wieku. Donoszą między innemi, że do szpitala w Tryeście zgłosił się jakiś starzec, z długą białą brodą, bez sił, z prośbą o przytułek. Z dokumentów, jakie miał przy sobie, stwierdzono, że nazywa on się Robert Frimansky i ma lat 114. Podał on, że przyjechał koleją z Krakowa do Wiednia, zaś do Tryestu przyszedł pieszo, cieszy się więc jeszcze bardzo dobrem zdrowiem. Znaleziono przy nim 5 koron; przyjęto go do szpitala.

Energiczne kobiety. Pisaliśmy już o rozruchach w wielu miejscowościach Francyi z powodu drożyzny. Tłumy ludzi przeciągały ulicami, niszcząc sklepy i kramy handlarzy, obrzucając kamieniami wojsko i policyę, gdy te drogę im zastąpiły.



Początek do rozruchów dały energiczne kobiety francuskie, które na rannych targach w miastach i miasteczkach, oburzone podniesionemi cenami jaj, masła i innych środków żywności, rzuciły się z pięściami i parasolkami na handlarzy i przekupki, poturbowały ich nieraz porządnie, a towar zniszczyły. Obrazek nasz przedstawia targ w mieście francuskiem, podczas którego gospodynie w taki ostry i gwałtowny sposób wyrażają swe oburzenie z powodu drożyzny.

Skarb w sienniku. W miejscowości Pongew, w Tyrolu, zmarła 78 letnia żebraczka, Marya Eckerowa. Po jej śmierci syn żebraczki podarował sąsiadowi siennik zmarłej. Przy przetrząsaniu siennika obdarowany znalazł zniszczony pugilares, który zawierał 2200 koron w banknotach 10 i 20 koronnych. Uczciwy znalazca nie złakomił się na pieniądze, lecz oddał natychmiast ów »skarb« synowi żebraczki, jako prawemu spadkobiercy.

Roztargniony złodziej. Zabawna przygoda złodziejska, nie pozbawiona humoru, wydarzyła się tymi dniami w Strzelnie w W. ks. Poznańskiem. Pewnej kobiecinie skradziono w nocy gęś. Nad ranem zauważyła ona kradzież, równocześnie jednak znalazła worek z pieniądzmi, pozostawiony przez złodzieja. We worku mieściło się kilka marek. Sprawa zakończy się niezawodnie tak, że właścicielka gęsi zatrzyma pieniądze a złodziej gęś, bo z pewnością strzedz się będzie łup wykupić.

Operacya przy zapałkach. Pisaliśmy niedawno o olbrzymich strajkach w miastach angielskich. W niektórych rozruchy strajkowe przybrały groźne rozmiary. Robotnicy dopuszczali się wykroczeń, niebezpiecznych dla ogółu ludności. W jednem z większych miast popsuli przewody elektryczne, doprowadzające światło nietylko do latarń ulicznych, ale wielu fabryk, zakładów naukowych, szpitali itp.



Otóż do pewnego szpitala przywieziono raz podczas tych zaburzeń wieczorem człowieka niebezpiecznie chorego, któremu groziła pewna śmierć, gdyby natychmiast nie wykonano operacyi. Lekarze też wzięli się do niej natychmiast, rozumie się przy świetle elektrycznem. Wtem naraz w sali pociemniało i zdawało się, że operacyi prowadzić dalej nie będzie można, gdyż i świec w szpitalu nie było. Wobec tego dokończono ją przy świetle zapałek i uratowano życie choremu. Osobliwą tę operacyę przedstawia nasz obrazek.

Ocalony przez psa. W Strzelnie, w Poznańskiem, zjawił się oszust, przedstawiający się jako ajent fabryki rowerów i wyłudzający od naiwnych zadatki. Jeden z mieszkańców Strzelna poznał oszusta i kazał go aresztować, ale ten zbiegł, pędząc rączo za miasto. Sierżant policyi puścił się w pogoń za zbiegiem w towarzystwie psa policyjnego. Już w szczerem polu, oszust, widząc, że nie ujdzie pogoni, przystanął nagle i wydobył rewolwer z kieszeni, mierząc do sierżanta. W tej chwili jednak przyskoczył do niego pies i wpił mu się zębami w prawą rękę, trzymającą rewolwer, a policyant przy pomocy innych osób ubezwładnili oszusta. Bardzo jednak wątpliwe, czy pies chwyciwszy za prawą rekę, zrozumiał, że ona trzyma narzędzie śmierci. Takiej bowiem »przytomności umysłu« nawet po mądrych psach nie można się spodziewać.

„Duch“ kradnący gołębie. Pewien gospodarz w Poznańskiem, przebudziwszy się w nocy, spostrzegł przez okno na dachu swego chlewa jakieś

białe, unoszące się widmo. Przechodziło powoli Czasem wydawało się około 3 metrów wysokie, to znów zmniejszało się o połowę. Z przerażeniem spoglądał gospodarz na straszliwą postać. Ta powoli zbliżała się do gołębnika, przymocowanego do chlewa. Widmo otwarło gołębnik i zaczęło wybierać gołębie jednego po drugim. Gospodarz nie mógł z przerażenia wydać ze siebie żadnego głosu. Nagle słyszy jakiś trzask. Widmo runęło z chlewa do dołu od nawozu. Gospodarz myśli, że już dla niego wybiła ostatnia godzina. Wtem widmo zaczęło krzyczeć i wołać o pomoc zupełnie po ludzku. To przyprowadziło gospodarza do równowagi. Postanowił rzecz zbadać i wybiegł na podwórze. Zamiast jednak nieboszczyka leżał przed nim jakiś młody człowiek, owinięty w długą białą płachtę. Odwaga wstąpiła w przerażonego włościanina, i chcąc powetować okropne chwile, zaczął rzekomego »ducha« częstować kułakami, który widząc, że to nie żadne żarty, zbiegł, pozostawiwszy płachtę i skradzione gołębie. Do płachty była przymocowana tyczka, za pomocą której sprytny złodziej stawał się wyższy lub niższy, w miarę, jak ową tyczkę podnosił lub zniżał.

Rozboje policyjne w Łodzi. Przechodzący jedną z ulic miasta Łodzi, w Królestwie, patrol policyjny polecił zatrzymać się osobistości podejrzanej. Gdy podejrzany tego nie usłuchał, dano strzały. Zabitym był kowal Kieszkowski, jak się okazało, człowiek najspokojniejszy. Inny patrol kazał robotnikowi pewnemu podnieść ręce do góry. Gdy robotnik sięgnął po paszport, policyant strzelił i powalił go trupem; przy zabitym nie znaleziono żadnej broni. Tak to po barbarzyńsku obchodzi się rosyjska policya z ludźmi — i co najsmutniejsze, że takie bardzo częste nadużycia uchodzą jej zupełnie bezkarnie.

Słomiani chłopcy. W Irlandyi jest mnóstwo zwyczajów, które przechowały się tam od wieków i dzisiaj jeszcze ludność wiejska ich nie zaniechała. Do takich należy również wpraszanie się młodych chłopców na ślub. Mianowicie każdy młodzieniec, o ile nie dostał zaproszenia na wesele, może się jednak na niem zjawić, ale wymagane jest wówczas, aby się tak przybrał, jak to widzimy tu na naszym obrazku.



Oto nie wolno mu inaczej przekroczyć progu izby, gdzie odbywa się uczta weselna lub huczne tany, jak tylko z głową okrytą rodzajem słomianej przyłbicy lub hełmu Takie cudaczne przybranie głowy upoważnia do wzięcia udziału w zabawie weselnej.

Ciekawe zjawisko na niebie. W poniedziałek 18 września zauważono w Warszawie pomiędzy godziną 7 a 8 wieczorem, w północno-wschodniej stronie ciekawe zjawisko świetlane. Mianowicie ukazała się dość jasno świecąca kula, zakończona z obu stron długiemi bledszemi promieniami w kształcie rózeg, przypominających kometę z lutego 1910 r.

Pogrzeb muzułmanina. W porównaniu z obrzędami pogrzebowemi chrześcijańskimi, pogrzeb np. Turka, wyznającego religię Mahometa przedstawia się bardzo prosto. Nie słychać posępnych pieśni kapłanów, ani dzwony kościelne nie grają pożegnania zmarłemu, ani chórów niema żadnych, choćby nieboszczyk był największy i najpotężniejszy. Na prostej desce z poprzecznymi drągami składa się ciało zmarłego, owinięte w płótno, i tak na barkach sześciu ludzi odchodzi on z domu na wieczny spoczynek.



Na cmentarzu muzułmańskim czeka na niego kapłan i wypowiedziawszy krótką modlitwę nad grobem, odchodzi, podczas gdy tymczasem grabarze sadowią go w grobie, który później przywalają płaskim kamieniem, bez żadnego znaku, o ile zmarła kobieta. Na grobach zaś mężczyzn widać kamienie zdobne wykutymi turbanami (nakryciami głowy mahometan). Obrazek nasz przedstawia taki cichy i posępny orszak pogrzebowy wyznawcy Mahometa.

Nieznana zaraza u bydła. Nad granicą holenderską zauważono szerzenie się nowej choroby ócz u bydła. Pierwszym objawem choroby jest zapalenie wewnętrzne powiek. Po pewnym czasie pokazują się plamy na oku, które mogą spowodować znaczne osłabienie wzroku i w pewnych warunkach nawet zaniewidzenie. Znawcy przypuszczają, że tu chodzi o chorobę zakaźną, której przyczyny jeszcze nie stwierdzono. Jedynym środkiem ku zapobieganiu przeniesienia choroby jest zupełne odosobnienie chorego bydła od reszty, jeszcze nie dotkniętej pierwszemi objawami choroby. Podobne objawy spostrzeżono podobno u koni.

Śmierć podczas walki byków. Niedawno pisaliśmy o walce byków w Hiszpanii zaznaczając, że barbarzyńska ta zabawa niejednokrotnie pociąga za sobą straszną śmierć ludzi drażniących byka od rogów rozjuszonego zwierza. Niedawno w pewnem mieście hiszpańskiem zaszedł taki wypadek. Ulubiony toreador (człowiek biorący udział w walce z bykiem, nazwiskiem Chico gdy starał się wyminąć szybko nacierającego nań byka, upadł na piasek boiska, poślizgnąwszy się, czy też zaplątawszy w fałdach czerwonej płachty, trzymanej w ręce. W jednej chwili byk wrył mu rogi w plecy, rozdzierając je w okropny sposób. Konającego wyniesiono z areny. Lekarze usiłowali jeszcze dokonać operacyi, aby uratować nieszczęśliwego, ale Chico wkrótce potem skonał.

Wychodźtwo do Stanów Zjednoczonych. Polskie Towarzystwo emigracyjne donosi, że rząd Stanów Zjednoczonych zaprowadził pewną ulgę w przepisach o wylądowaniu wychodźców. Dotychczas mianowicie obowiązywało rozporządzenie, iż wychodźcy, którzy nie mogą wykazać się posiadaniem obok biletu kolejowego na miejsce przeznaczenia gotówki w kwocie przynajmniej 25 dolarów, nie otrzymują pozwolenia na wylądowanie. Obecnie ma

być ściśle stosowany przepis zasadniczy, iż wychodźca ma się wykazać posiadaniem takiej gotówki, któraby według uznania władz wystarczyła na utrzymanie dla niego i jego rodziny, zanim znajdzie pracę. Dzieci więc, jadące do rodziców, żony udające się do swych mężów, mogących zapewnić im utrzymanie i t. p., będą odtąd dopuszczane do wylądowania nawet w razie nieposiadania przy sobie 25 dolarów. Przepis ten o tyle nie jest dość jasny, iż pozostawia do uznania urzędników amerykańskich decyzyę, jaką kwotę w każdym poszczególnym wypadku musi posiadać przy sobie wychodźca, jadący szukać pracy, skoro przecież nie ma pewności, kiedy ją znajdzie. Wobec bardzo niepewnych stosunków na amerykańskim rynku pracy wychodźtwo do Stanów Zjednoczonych obecnie bardzo osłabło, w przyszłym zaś roku prawdopodobnie nastąpi gromadne wychodźtwo powrotne z Ameryki, gdyż z powodu wyborów nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych, spodziewany jest tam znaczny zastój w tamtejszym przemyśle.

Wielka zwolenniczka małżeństwa. W Ameryce żyje pewna młoda jeszcze, bo dopiero 26-letnia osoba, która już piąty raz wyszła za mąż. Dzieje jej częstych małżeństw tak się przedstawiają. Mając lat 17 wyszła za mąż za starca 70-letniego, którego pochowała wkrótce. Drugi jej mąż liczył 80 lat życia i też się nim długo nie cieszyła, trzeci zaś miał 56 lat życia i zmarł w dwa lata po ślubie. Czwarty z kolei jej małżonek, dziennikarz, liczył 24 lata życia, ale się jej nie podobał, więc się z nim rozwiodła po kilku miesiącach wspólnego pożycia. Obecnie, mając lat 26, poślubiła piątego męża, liczącego 27 lat. Po pierwszych trzech mężach odziedziczyła ona znaczne majątki. Powiada, że nic łatwiejszego dla kobiety, jak komenderować mężem, choć się zdaje, że to niby on jest panem domu. Zdaniem jej mężczyźni to takie stworzenia, które tak skaczą, jak im kobieta zagra. Istotnie miała ona dosyć doświadczenia pod tym względem, posiadając w krótkim czasie tylu mężów.

Amerykański sąd doraźny. W jednym ze Stanów Ameryki północnej dopuścił się murzyn rabunku. Nie zrabował w istocie niczego, bo go spłoszono, podczas ucieczki zaś nabawił się zapalenia płuc. Chory, w gorączce błąkał się w okolicach parę dni, aż zaszedł do miasta, gdzie go przyjęto do szpitala.



Amerykanie, jak wiadomo, okrutni wobec murzynów i straszliwie mszczący się za ich przewinienia, szukali go długo, aż wkońcu znaleźli w owym szpitalu. Na wiadomość, że »zbrodniarz« tam się znajduje, tłum wywlókł go z łóżkiem przed szpital, przykuł ręce i nogi do łóżka, oblał naftą i żywcem spalił. — Chwilę tego nieludzkiego sądu doraźnego przedstawia nasz obrazek.

Pożarci przez krokodyle. W nrze 31 »Roli« opowiedzieliśmy o wypadku pożarcia przez krokodyle pięciu Anglików w rzece Gangesie w Indyach.



Jeden z wciągniętych w głębię przez rzecznego potwora mężczyzn był niedawno poślubionym mężem młodej kobiety. Ta po przewróceniu się łódki na rzece zdołała się wyratować, lecz nieszczęsna musiała z brzegu patrzeć na straszną śmierć męża! — Rozdzierającą tę chwilę przedstawia nasz obrazek.

Podział czasu na 24 godzin. W roku zeszłym na sesyi Rady kolei państwowych we Wiedniu wpłynął wniosek, by na kolejach austryackich zastosowano podział czasu na 24 godzin w celu uniknięcia w ten sposób dotychczasowych licznych pomyłek. Wniosek załatwiło ministerstwo handlu przychylnie z nadmienieniem, że reforma wymaga uprzedniego porozumienia się i zgody w liczeniu czasu i w innych gałęziach życia publicznego, zatem na pocztach, w urzędach telegraficznych, w ruchu okrętowym itp. Gdyby sprawa ta została ostatecznie załatwioną i zaczęły obowiązywać 24 godziny na dobę, mielibyśmy niezwykłą zmianę, zwłaszcza na rozkładach kolejowych. Z początku trudno byłoby połapać się np. godzina 14, 17, 20. Dopiero wyliczywszy od godz. 1 po północy zrozumiałoby się, że godz. 14 jest to 2 popołudniu, 20 jest to godz. 8 wieczór. — Taki rozkład czasu obowiązuje już na kolejach we Włoszech i w Rosyi.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Jan Bylica w P.: Gdy tylko Kalendarz wyjdzie, wyślemy. Losowanie odbywa się w ten sposób, że wszystkie nazwiska spisane na kartkach tych, którzy nadesłali rozwiązania daje się do urny a biedne dziecko poproszone w tym celu, wyciąga najpierw jedno a potem drugie nazwisko, otrzymując wzamian paczkę cukierków. — Józef Więcek w S.: Na Kalendarz wystarczy 50 hal., lecz do Prus gazetka więcej kosztuje. Jezeli Pan ma zamiar wrócić przed Nowym Rokiem do kraju, to na gazetę wystarczy 4 K., inaczej trzaby więcej. O powiększeniu »Roli« myślimy, ale toby kosztowało bardzo dużo, a wydawnictwo takiego pisma jak »Rola« jest niezmiernie drogie. Za zmianę adresu też musimy coś żądać, gdyż każda zmiana pociąga za sobą pracę i koszta. — Jan Wołek w B.: Nadesłany artykuł umieścimy w następnym numerze, gdyż do tego przyszedł za późno. Maciek pomyśli o owym socyaliku, a Panowie mu poradźcie, kiedy mu wszystko jedno, czy on jest Polakiem czy Niemcem, niech idzie do Niemców a polski chleb przestanie jeść. — Piotr Kędzierski w P.: Wysłaliśmy — nic się nie należy. — Kazimierz Walaciński w K.: Nadesłane wierszyki są dobre. — Stefan Sikora w M.: Nadesłana korespondencya zbyt obszerna, aby ją w »Roli« drukować — zresztą jest to tylko podziękowanie obchodzące jedną miejscowość, a to innych czytelników by nie interesowało. — Członkowie Kółka rol. w Frydrychowicach: Do druku trzeba pisać koniecznie po jednej stronie papieru, inaczej nie możemy umieścić, gdyż na przepisywanie brak nam czasu. — Franciszek Banaś w H.: Ażeby dać dobrą radę, trzeba być lekarzem i chorego zbadać. inaczej trudno, gdyż zamiast pomódz, możnaby zaszkodzić. — J. Rosochowoniecki w R.: Nadesłany wierszyk nie będzie drukowany. — Józef Płatkowski w M.: Zagadki umieścimy. — Józef Kobylański w C.: Nadesłane szarady dobre. — Franciszek Firla w G. S.

Łamigłówki otrzymaliśmy i gdy tylko będzie miejsce wydrukujemy. — Władysław Biedroń w P.: Nadesłana humoreska dobra — prosimy o więcej takich opowiadań. — Michał Zdziebłowski w P.: Kiedy co będzie drukowane trudno nam naprzód oznaczyć. Powiastki prosimy przysłać, zobaczymy, czy będą drukowane. Obszerną wiadomość o Kalendarzu znajdzie Pan w numerze dzisiejszym. — Andrzej Wróbel w K.: Prace Pańskie chętnie drukujemy, cieszymy się obietnicą. — Kazimierz Tokarski w W.: Niech się Pan nie zraża, bo wszystkiego naraz nie można wydrukować. O humoreski prosimy, gdyż te chętnie drukujemy a nawet damy robić do nich obrazki. Wiadomość do kroniki przyszła zapóźno — będzie w przyszłym numerze. — Wojciech Tylko. Do tego numeru zapóźno — będzie w przyszłym. — Jan Kopka w S.: 50 h. otrzymaliśmy — obecnego listu szkoda było rekomendować. Numer 29 wysłany. — Kazimierz Morys w Z.: Maciek każdego chętnie odwiedza, kto mu tylko na drogę pieniądze posyła, a odwiedza nie raz, ale 52 razy w roku. Pani Stanisławie wysłaliśmy Maćka również. Za miłe słowa dzięki.

Potwierdzenia prenumeraty:

Bednarski Jan z W. (2 K.), Józef Adamaszek z B. (2 K.), Arkadyusz Szarek z S. (1 K.), Stanisław Placuch z B. (4·50 K.), Stefan Sikora z M. (4·50 K.), Andrzej Jarosiński z R. (4 K.), Wincenty Kurnik z N. (4 K.), Wojciech Żurawski z B. (2 K.), Józef Baranowski z M. (2 K.), Jan Dziek z Z. (4·50 K.), Jakób Piechota z B. (2·50 K.), Józef Stachoń z Ch. (2·50 K.), Michał Gomida z W. (3 K.), Ignacy Byrski z K. (3·50 K.), Jan Mucha z K. (1 K.), Szczepan Orzech z K. (1 K.), Jan Biernat z S. (4·60 K.), Franciszek Kozak z F. (4·50 K.), Józef Giemza z O. (1 K.), Stefan Sikora z M. (1 K.), Antoni Rachwalski (2·50 K.), Sapiński Roman z M. (1 K.), Michał Gołdas z T. (1 K.), Leonard Gąsiorowski z B. (2 K.), Józef Gąsiorowski z W. (2 K.), Jan Lekart z Sz. (2 K.), Stanisław Czerniec z P. (1 K.), Wojciech Menet z F. (4·50 K.), Ludwik Radomski z S. (1 K.), Józef Bortlik z B. (1 K.), Stanisław Rapacz z S. (4·20 K.), Ignacy Paśko z W. (2 K.), Tomasz Małek z J. (5·50 K.), Feliks Olikowski z P. (2 K.), Mikołaj Baster z N. (1 K.), Jan Siwek z W. (3·50 K.), Jan Mleko z W. (1 K.), Franciszek Stypka (2 K.), Jan Bylica z P. (2·50 K.).

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 26 wrześ.

Pszenica	Kor.	12·05	do	12·45	za 50 kg.
Żyto	„	9·85	„	10·35	„
Jęczmień	„	9·—	„	9·50	„
Owies	„	8·70	„	9·10	„
Otręby pszenne	„	7·20	„	7·40	„
Otręby żytnie	„	7·25	„	7·50	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 26 września:

Buhaje	Kor.	180	do	300	za sztukę
Woły	„	—	„	—	„
Krowy	„	170	„	240	„
Jałówki	„	120	„	240	„
Cielęta	„	28	„	84	„
Owce i kozy	„	20	„	26	„
Świnie (bita waga)	„	136	„	152	za 50 kg

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Ułożył Fr. Marzec).

Całość ta z dwóch słów — z trzech zgłosek [się składa.
O pierwszem każdy tyle wypowiada,
Że jako liczba stoi w trzecim rzędzie.
drugiego słowa określenie będzie:
Szczęśliwy człowiek, kiedy tam upadnie,
I zdrowy jeszcze obejrzy się na dnie.
Pierwsza, gdy z końcem połączę drugiego,
Wyjawię mnogość przedmiotu znanego.
Wszystko zaś na wsi potrzebne koniecznie,
By ważne rzeczy zachować bezpiecznie.

2. SZARADA.

(Ułożył Stanisław Kumięga).

Pierwsze, trzecie, czwarte
Do drzew policzyć warte.
Pierwsza i druga:
Tak psa nazywacie
Trzecia i czwarta
Na tem go trzymacie.
Całość na dziewczynkę wołacie.

3. SZARADA.

(Ułożył Andrzej Wróbel).

Pierwsze, to nawet wrony poznać dają,
Tylko słuchajcie, jak się odzywają,
Drugie ma ubranie — oglądajcie wszędzie,
Bo to w ubraniu prawie w każdem będzie;
Trzeciego do wielkich śniegów używają,
Albo przez bagna też na tym chadzają.
Całość to nie król, ani nie cesarz,
Lecz sławny polski powieściopisarz.

4. SZARADA.

(Ułożył Jan Burdak).

Pierwsza część słowa — głoskę jedną znaczy,
Którą się woła w radości, w rozpaczy,
Druga część wyrazu — warownią się mieni,
Którą się stawia z cegieł lub kamieni.
Cały zaś wyraz doskonale znacie,
Gdyż go widzicie przy każdej prawie chacie.

5. SZARADA.

(Nadesłał Jan Mączka z P.).

Pierwsze królem obrane,
Drugie w strój jego przybrane;
Trzecie nad nim panuje;
A wszystko to kwiat wskazuje.

6. SZARADA.

(Ułożył Władysław Wołowiec).

Pierwsze i drugie wspomina człowieka,
Który niszczył kraje, przyszedłszy zdaleka.
Drugie trzecie rośnie na kolącym krzaku,
Niby jak jagoda, ale niema smaku.
Trzecie z drugiem, to choroba czasem zaraźliwa.
Całość: ziarnko pożyteczne. Nie okrągłe bywa.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 7 październ. 1911 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nru 38 *Roli*: 1. Szarada: **Kraszewski,** 2. Szarada: **Kawałek,** 3. Arytmogryf: **Mickiewicz, Kościuszko,** 4. Szarada: **Minogi,** 5. Łamigłówka: **Kto nie pracuje z młodu, umiera na starość z głodu.** 6. Kwadrat magiczny: **Staw, tory, arak, wyka,** 7. Szarada: **Tulipany.**

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

Że nasza Polska sławnych mężów miała,
Wie o tem rzesza czytelników cała.
Do ich rejestru Kraszewski należy,
Który za swe pisma wielką sławę dzierży.
W rozmaity sposób popracować trzeba,
Ażeby na świecie mieć kawałek chleba.
Znów wielcy mężowie, Mickiewicz poeta,
I Kościuszko, w którym dzielność, to zaleta.
Ja nie potrzebuję bawić się na migi,
Gdyż zwyczajną mową wyrzeknę minogi.
To mi jest wiadome, że kwadrat magiczny,
Zawiera w sobie materyał dość liczny,
Bo staw i tory tych dużo na świecie,
Arak to napój, wykę znamy przecie.
Ostatnia szarada będą tulipany,
Tem słowem zamykam mego wiersza ramy.
Lecz jeszcze jedno: to piękne przysłowie,
A kto go nie zna, niech się tutaj dowie:
Kto nie pracuje za młodu,
Na starość umiera z głodu.

Fr. Zdeb.

2.

Hej! czy uwierzysz mi »Rolo« kochana,
Żem omal dzisiaj nie wylazł ze skóry,
Gdym do wieczora od samego rana
Siedział zawzięcie nad szaradą Bzdury.
Ta boż takiego zabił mi w łeb klina
Z tem swojem dzieckiem i ze swoim strzelcem,
Że gdybym był mógł, to byłbym z widelcem...
Rzucił... się na niego, boż to jego wina.
Ja myślę, szukam wściekle kombinuję,
Składam, znów czytam, to znowu rymuję,
Ale nic z tego. Dopiero wieczorem,
Kiedym po kolacyi z dobrym humorem
Siadł znów do szarady, zgadnąłem ją przecie,
Że na migi gada tak strzelec jak dziecię,
Że ja i dziecko mamy po dwie nogi
I kiedyś przecież jeść będziem minogi.
A teraz mi wybacz mój Maciusiu drogi,
Żem cię zaczepił, bom jest pełen trwogi,
Że za zaczepkę do sądu pójść mogę,
Koszta zapłacić i tobie za drogę.

Józef Kobylański.

Oprócz tego w oznaczonym czasie nadesłali rozwiązania P. P.:

Adam Warchoł z Z., Jan Bobrowski z O., Arkadyusz Szarek z S. W., Franciszek Klocek z N. T., Wojciech Korzeniowski z B., Jadwiga Krawczykowa z T., A. Bezokówna z K. m., P Juroszek z S., Michał Ozóg z W., Koło »Macierzy szkolnej« z S., Z. Zarucki z D., J. Hirszberg z K., J. Kobylańska z B., S. Zdunek z S., K. Szeliga z B., A. Kata z Ch., S. Winkowski z P., F. Kelner z P. L., S. Höller z B. S., J. Brzeziański z K., K. Welc z T., J. Niemiec z G., WP. Koza z T., J. Woś z W., F. Teper z M. K., F. Firla z G. S., Jan Stawiarski z Z., J. Płatkowski z M., B. Targowski z T., St. Kumięga z T.

Pierwszą nagrodę pt. ***Na polu chwały*** Sienkiewicza wylosował p. **Michał Ozóg** z W., zaś drugą p. t. ***Rozdzióbią nas kruki, wrony*** Żeromskiego wylosował p. **Jan Stawiarski** z Z.

Zaproszenie do przedpłaty.

Całoroczna prenumerara *Roli* na rok 1912, wraz Kalendarzem i udziałem w losowaniu „Podarków Szczęścia“ wynosi **4 Kor. 50 h.**

Ktoby z **nowych prenumeratorów** chciał *Rolę* otrzymywać już od 1 października do końca roku i przez cały rok 1912, oraz otrzymać Kalendarz i brać udział w losowaniu „Podarku szczęścia“ niech przyśle zaraz **5 Kor. 50 h.**

Ktoby sobie z **nowych prenumeratorów** życzył mieć początki pięknych powieści obecnie drukowanych w *Roli* p. t. „Rozbójnicze gniazdo“ i „Rubin wezyrski“ niech przyśle **6 Kor. 50 h.** a wyślemy mu wszystkie numera z drugiego półrocza od 1 lipca, będziemy posyłać *Rolę* do końca bieżącego roku i przez cały rok następny 1912. Oprócz tego poślemy mu nasz piękny Kalendarz i będzie brał udział w losowaniu „Podarków szczęścia“.

Pieniądze można nadsyłać przekazami lub czekami pod naszym adresem: ***Rola***, Kraków, ul. św. Tomasza 32. Dla ułatwienia podajemy wzór, jak wypełnia się czeki.

Na części środkowej wszystko trzeba pisać **bardzo wyraźnie i czytelnie,** gdyż my tę część czeku otrzymujemy i podług niej piszemy adresy i zapisujemy w księgach. Nazwisko i miejscowość napisane niewyraźnie przez prenumeratora sprawiają, że numery nie dochodzą.

Również gorąco prosimy o bardzo wyraźne pisanie swych adresów na przekazach, gdyż za pomyłki odpowiadaćbyśmy nie mogli.



Kto wcześniej nadeśle pieniądze, ten wcześniej otrzyma Kalendarz i będzie miał bliższy numer w losowaniu „Podarku szczęścia“.

Jednym czekiem lub przekazem można wysyłać prenumeratę za kilka osób, ale należy **równocześnie wysłać kartkę** z podaniem, kto składa prenumeratę i jaki jego dokładny adres. Wszystko trzeba pisać **bardzo wyraźnie, powoli!**

Wydawca: Stanisław Kopernicki. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**

Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.

Obrazkowy Kalendarz „Roli“ na rok 1912.

już jest na ukończeniu i wkrótce opuści prasę. Będzie to gruba, oprawna książka, z złoceniami na grzbiecie. Trójbarwny obrazek na okładce, narysowany umyślnie do naszego kalendarza, przedstawia u góry: w środku Matkę Boską Częstochowską, po prawej stronie Kazimierza Wielkiego, po lewej Tadeusza Kościuszkę. U dołu w dali widać wieś polską z kościołem w pośrodku. Od wsi ciągnie się linią wężową droga, przy której widać figurę. Dalej znajdują się robotnice pracujące w polu, a na samym przodzie widać rolnika orzącego ziemię parą wołów.

Na początku Kalendarza Roli znajduje się

wykaz świąt na cały rok,

przepowiednie pogody według stuletniego kalendarza i t. d.

Informacye praktyczne

zawierające przepisy pocztowe i telegraficzne oraz wiele innych wskazówek.

Dział literacki

zawiera około 100 różnych utworów, jak legendy, powiastki, opowiadania, wiersze, opisy, humoreski i t. p., z których wiele ozdobionych jest obrazkami. Oprócz obszernych a nadzwyczaj ucieszneych

Pamiętników Maćka Bzdury

w kalendarzu naszym znalazły miejsce następujące utwory:

Z Nowym rokiem. *Ant. St. Bassara:* 1812—1912. — O roku ów! — Dziwo w jeziorze krakowskiem. — *Ferdynand Hądz:* Życzenia noworoczne. — Legenda noworoczna. — *Paula Wężyk:* Gwiazda przewodnia. — Najświętsza Rodzina w Egipcie. — Męczeństwo wsi polskiej. — *Jan Płodzień:* O skąpej kumie. — Pierwszy wielki powieściopisarz polski. — *Fr. Marzec:* Szczęście. — *St. Krzywda*: Szpieg. — *Jantek z Bugaja:* Bóg, Ojczyzna, Wiara. — *Karol Powroźniak:* Żywot cygana poczciwego. — *Ks. Władysław Staich:* Pasterz dobrej śmierci. — Trzej królowie. — Legenda o osice. — *Edmund Zechenter:* Na Gromniczną. — Stulecie wielkiego poety. — *Arkadyusz Szarek:* Pan z wami. — *Piotr Lipowiak:* Rach... ciach... ciach... — *Jacek Obrochta:* W Olszynce. — *Antoni St. Bassara:* Krwawa zabawa. — Wesele. — Święcenie popiołu w Rzymie. — *Michał Mikoś:* Legenda o ptaszkach. — *Karol Powroźniak*: Otruty żyd. — *Tylka Wojciech:* Muzykant w piekle. — *Ks. Korczak:* Spowiedź wielkanocna. — Dary dobrego żniwa. — *Nie-góral:* Ostatnia Wielkanoc Jasia. — *Wawrzyniec Pietrucha:* Wiejskie dziewczę. — *Michał Pałac:* Kiedy Polska zmartwychwstanie. — *J. Sobczyk:* Przysięga Kościuszki. — Racławice. *Kędzierski Piotr:* Na zgliszczach. — *Józef Wyrwicz:* Po bitwitwie racławickiej. — *Michał Mikoś:* Kwiecień-plecień. — *Henryka Zwilling:* Ach rosę daj mi pić! — Jasiek Mulet. — *Teofil Tryczyński:* Hymn do Polski. — *Ks. J. Grzymek:* Potęga nabożeństwa majowego. — *Władysław Biedroń:* Pobudka do miłości. — *Jan Kret:* Trzeci maj. — *Jan Cetera:* Moja wioska. — *Adam Jesionek:* Ku czci Królowej w maju. — *Robert Rydz:* Przez wódkę do zbrodni. — *W. K.:* Niemądry żyd. — *Ks. St. Jaworski:* Święty Stanisław. — *Antoni St. Bassara:* Stachy i Staszki. — *Ks. Dr J. Kaczmarczyk:* Boże Ciało w Pleszowie. — *Edmund Zechenter:* Legenda o jagodach. — *Robert Rydz:* Do braci. — *Zygmund Bogdański:* Sobótka. — *Ant. St. Bassara:* W dzień Zielonych Świątek. — *Jacek Obrochta:* Urbi et orbi. — *Kazimierz Tetmajer:* Legenda o Panu Jezusie i zbójnikach. — *J. Z. Tolek:* Po bitwie. — *Wincenty Cechowy:* Lipa. — *Edmund Zechenter:* Legenda o kłosach zboża. — *Tadeusz Zubrzycki:* Faustynek. — *Jantek z Bugaja:* Na fujarce. — Krzysztofor. — *Adam Grzyb:* Cudowni rabini. *Wiktorya Bilicka:* Żal dziewczyny. — Pijak na misyach. — *Teofil Tryczyński:* Dożynki. — *Stefania Szybowiczówna:* Matka Boska Zielna. — *J. Byrski:* Gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle. — Po 45 latach. — Goniec. — W duszy Turczyna. — *Kędzierski Piotr:* Jak Matka Boska świat uratowała? *Andrzej Wróbel:* Marcin Kątski. — *Jacek Obrochta:* Trzy krzyże. — Ks. Piotr Skarga. — *Antoni Socha:* Obrońca ludu. — *Ant. St. Bassara:* Babskie lato. — *Antoni Socha:* W noc listopadową. *Józef Kobylański;* Wieczór wigilijny. — *Jantek z Bugaja:* Na szczęście. — *Andrzej Wróbel:* Szwedzi w Polsce. — *Franciszek Markiewicz:* Błogosław Jezu. — i wiele innych.

Dział kobiecy

obejmujący trzydzieści kilka stron druku, opracowała znana pisarka p. *Marya Ruszczyńska.* Dział ten zawiera:

Znakomite polskie niewiasty: Królowe. — Wielkie cnotą Polki. — Polskie zasłużone pisarki.

Rady dla gospodyń: O zadaniu matki i gospodyni. — O oszczędności. — Poprawa w gotowaniu. Gotowanie. — Pranie. — O szkołach gospodarstwa. — Praca dzielnej kobiety.

Jak dbać o zdrowie: O zdrowiu w ogóle. — Konieczne warunki zdrowia. — Zdrowe wychowanie dzieci. — Najważniejsze choroby. — Pielęgnowanie chorych.

Poradnik gospodarski.

Wiedząc, jak potrzebne są dla naszych gospodarzy wskazówki gospodarskie, postaraliśmy się do naszego kalendarza o rzeczy nadzwyczaj cenne w tym kierunku. P. Julian Słomka, instruktor rolnictwa, człowiek fachowy i znany w gospodarstwie, napisał najważniejsze porady gospodarskie dla naszego kalendarza. Dział ten zawiera:

Utrzymanie i pielęgnowanie sadów. — Chwasty i ich tępienie. — Łąki i ich uprawa. — Nawozy zielone. — Obornik, jego znaczenie, przechowanie i używanie. — Płodozmian i jego użyteczność. — Ziarno do siewu i siew. — Hodowla bydła mlecznego. — Wychów młodzieży. — Tuczenie zwierząt. — Nawozy pomocnicze, ich znaczenie i używanie. — Kompost.

Podarek Szczęścia „Roli“.

Pomimo znacznych wydatków a niezmiernie niskiej ceny prenumeraty „Roli“, która jest niezaprzeczenie najtańszem pismem polskiem, Redakcya zaprowadziła rozdawanie podarku noworocznego swoim Czytelnikom, aby okazać wdzięczność i przyjaźń tym, którzy przez cały rok otaczają Redakcyę swą życzliwością. Gdybyśmy chcieli każdemu czytelnikowi coś ofiarować, moglibyśmy dawać tylko coś bardzo drobnego, czegoby nikt nie cenił ani się niem nie ucieszył. Nabywamy zatem pewną liczbę pięknych podarków w cenie od 1 kor. do 50 koron i rozlosujemy je pomiędzy wszystkich, którzy do Nowego Roku staną się naszymi prenumeratorami. Liczba podarków stosuje się do liczby prenumeratorów. Na początku bieżącego roku 1911 rozlosowaliśmy 459 obrazów i książek, w roku przyszłym 1912, ponieważ liczba prenumeratosów znacznie się pomnożyła, powiększyliśmy odpowiednio liczbę podarków, wskutek czego do rozlosowania zakupiliśmy:

Tysiąc trzysta obrazów i książek,

w razie większego napływu prenumeratorów, liczbę tę jeszcze powiększymy, tak, aby razem licząc, **każdy ósmy prenumerator** otrzymał Podarek Szczęścia. Ten sposób rozdzielenia ogromnie się podobał naszym Kochanym Przyjaciołom, dlatego powtarzamy go w r. 1912. Wymieniamy tutaj przygotowane podarki:

GŁÓWNY PODAREK

wielki obraz w ramach złoconych, za szkłem, na płótnie, wartości **50 K.**, stanowiący główną wygraną;

25 Encyklopedyj Macierzy Polskiej,

każda po dwa grube tomy, w oprawie, w pudełku. Jest to sławne dzieło, z wieloma obrazkami, z którego można dowiedzieć się o wszystkiem, co człowieka oświeconego powinno zajmować, a więc rzeczy religijne, historyczne, przyrodnicze i tp. Każda książka dwutomowa kosztuje 10 koron.

50 obrazów Matki Boskiej Częstochowskiej

w ozdobnych złocistych ramach, za szkłem, z nowemi koronami. Obraz taki kosztuje 8 koron.

250 książek p. t. *Rolnik Wzorowy*,

Tysiąc Książek do nabożeństwa

a mianowicie w dwóch gatunkach, wielkościach i cenach:

200 książek p. t. *Ogień miłości Bożej*, stron 628, w oprawie złoconej, ze złoconemi brzegami, każda wartości po 2 korony.

800 książek p. t. *Kwiatek Seraficki*, stron 384, oprawne ze złoceniami, z brzegami czerwonemi, po 1 koronie każda.

Każda książka do nabożeństwa oprócz ładnej oprawy, ma dla ochrony przed zniszczeniem pudełeczko, do którego się ją wsuwa. Otrzyma ją co dziesiąty prenumerator, z tych, którzy prenumeratę nadeszlą przed Nowym Rokiem.

Losowanie podarku szczęścia odbędzie się w sposób taki, jak w roku bieżącym, w pierwszych dniach stycznia 1912 przez c. k. Notaryusza, który spisze protokół. Z osobna losowane będą: Główna nagroda, Encyklopedye Polskie, Obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej i książki p. t. „Rolnik Wzorowy“. Książek do nabożeństwa losować nie będziemy, gdyż przy tak wielkiej liczbie zajęłoby to dużo czasu. Ale i tu także musi oczywiście rozstrzygać tylko los, dlatego książkę otrzyma **co dziesiąty prenumerator**, którego numer porządkowy kończy się na tę samą liczbę, co numer wygranej głównej. W tym roku wygrał n. p. główną liczbę prenumerator Nr 2730, zatem książki otrzymali prenumeratorowie mający numery: 10, 20, 30 itd. aż do 2720 oraz od 2740 aż do końca.

W tym roku zaprowadziliśmy **dwojakie książki do nabożeństwa**: Droższe przeznaczone są dla dziesiątek od 1 do 2.000, tańsze dla dziesiątek powyżej 2.000. Uważamy bowiem za słuszne, aby ci, którzy pospieszą się z nadesłaniem prenumeraty i okażą tem większą chęć czytania, otrzymali też lepsze podarki od tej „Roli“, którą więcej od innych ukochali.

Numer swój będzie znał każdy prenumerator z góry, wkrótce po nadesłaniu pieniędzy. W tym roku nie będziemy potwierdzali w „Roli“ otrzymania prenumeraty, wraz z numerami, które przypadły prenumeratorom, tylko każdy otrzyma **osobną kartkę** z zawiadomieniem, że prenumerata nadeszła i że przypadł mu taki a taki numer porządkowy do losowania Podarku.